WIDNOKRĄG

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

39 (793)
25 września 1984 r.
RZESZÓW

Wstępna szpalta

INTELIGENCJA – TEMAT MODNY

Przetacza się przez prasę fala artykułów, felietonów, polemik, wywiadów na temat inteligencji. Fala czasem opada, czasem wznosi się, niby pod wpływem jakiegoś silnego podmuchu. Wypowiadają się ludzie różnych zawodów, różnie utytułowanych. Bronią inteligencji, załamują nad nią ręce, pomawiają o bezeceństwa, obarczają winą za wszystkie niepowodzenia, jakie nas dotknęły. Zdarza się kokietowanie klasy robotniczej, zdarza się kompletne pomieszanie pojęć.

Któż to jest inteligent? W życiu codziennym słyszy się nieraz, że ktoś jest inteligentny, bo ustąpił kobiecie miejsca w autobusie, bo mówi pierwszy dzień dobry, bo umie gładko wypowiedzieć kilkanaście poprawnych i miłych zdań. „Inteligentny" jest zatem określeniem pewnych cech i może odnosić się do ludzi z różnych warstw społecznych i grup zawodowych, ale „inteligentny", to co innego niż „inteligent" i o niego (?) toczy się spór.

Przyznam się, że nie bardzo rozumiem, o co niektórym autorom idzie. Przytaczają statystyki obrazujące różnice w zarobkach i na tym przykładzie zastanawiają się, czy warto w ogóle „zostać inteligentem", to znaczy, czy warto studiować, zdobywać wiedzę, tworzyć, prowadzić badania, dążyć do nowych odkryć i wynalazków. Przeciwstawiają miesięczne dochody pracowników umysłowych dochodom pracowników fizycznych, aby podeprzeć swoje tezy. Docent Kwiatkowski w polemicznym artykule na łamach „Polityki" używa raz pojęcia „inteligent", raz „inteligencik", przy czym rozróżnia „inteligencików" partyjnych i bezpartyjnych.

W tejże „Polityce" przeczytałem list nauczycielki szkoły średniej na temat zasad przyjmowania na studia. Autorka jest przeciwna punktom preferencyjnym. Pisze:

„w mojej szkole jest 1/3 dzieci robotników. Zapewniam redakcję i Szanownych Czytających, że są one o wiele lepiej ubrane niż dzieci inteligencji. Butiki, Pewex. Tak samo korepetycje. Przeciętnego inteligenta nie stać na korepetycje..." i nieco dalej: „najgorszy uczeń zawodówki ląduje lepiej niż najlepszy student uniwersytetu czy nawet politechniki...".

Tutaj również wysokość poborów jako argument.

Nie prześledziłem całej dotychczasowej dyskusji, gdyż toczy się ona poza prasą centralną również w regionalnej, rzadko do nas docierającej. Tylko z cytowania przez autorów „centralnych" wiem, że tenor tej dyskusji jest podobny. Nasz region, jak dotąd oparł się „modzie na inteligencję". Ani „Nowiny", ani tygodniki wojewódzkie nie kwapią się jakoś do wywołania tematu. A szkoda, bowiem nasz region wraz z procesem urbanizacji i uprzemysłowienia, wraz z powstaniem i rozwojem ośrodka akademickiego, środowisk twórczych posiada coraz liczniejszą warstwę inteligencji. Może zatem warto podyskutować, czy i jaki wkład w ogólny rozwój regionu jest jej udziałem?

Nie chciałbym jednak czytać i słuchać, ile zarabia profesor, lekarz, inżynier, a ile spawacz, tokarz, górnik czy robotnik budowlany. Są to według mnie sprawy wobec istoty rzeczy trzeciorzędne i nie stanowią żadnej wykładni roli i obowiązków, zalet i wad inteligencji w swej masie. Zgadzam się z Danielem Passentem, iż nie ma w Polsce obecnie warstw jednolitych, gdyż podziały, jakie nastąpiły, nie przebiegały między warstwami społecznymi, a w poprzek tych warstw. Atoli, jeśli chcemy podjąć dyskusję aby nie być „w tym temacie" gorszymi od reszty kraju, spójrzmy na problem szerzej.

Czytałem gdzieś, iż inteligencja ma spełniać rolę służebną wobec kraju, społeczeństwa. A która inna warstwa może być z takiej roli zwolniona? Rzecz przecież w tym, że w s z y s c y jesteśmy zobowiązani do służenia krajowi i społeczeństwu. Każdy na swoim stanowisku pracy, każdy według swej wiedzy i umiejętności. Jest to tak proste, że można by się dziwić wszelkim rozważaniom w tej materii. Skoro jednak poddaje się od dłuższego czasu inteligencję pewnej wiwisekcji, „coś w tym musi być". Co? Ba, okaże się to zapewne w toku dalszej dyskusji.

Inteligencja w najszerszym znaczeniu to wszyscy pracownicy umysłowi. W znaczeniu węższym jest to niejednorodna warstwa społeczna, na którą składa się zbiór różnych kategorii zawodowych, parających się nauką, twórczością, tworzeniem i rozprzestrzenianiem ideologii, organizowaniem pracy i współżycia zbiorowego, kierowania instytucjami i zespołami ludzkimi itp.

Jakim uwarunkowaniom podlega ta warstwa, czy jest ona oderwana od reszty społeczeństwa, czy ma mu przewodzić, czy pozostawać bierną? Pytania retoryczne. Skoro jednak są stawiane, istnieje przypuszczenie, iż zdania mogą być rozbieżne.

Co sądzi na ten temat inteligencja w naszym regionie, co sądzą o niej inne warstwy społeczne? Opinie mogą być interesujące. Pod warunkiem, że nie będą wypowiadane wyłącznie przez pryzmat zarobków.

ZBIGNIEW KREMPF

Jerzy Popow

MARZENIA I PORAŻKI ARCHITEKTÓW (II)

Fragment Nowego Miasta w Rzeszowie. *Fot. W. KIRSZNER*

ZAKOŃCEM lat sześćdziesiątych pojechałem półprywatnie, półsłużbowo do Danii — opowiada architekt WŁADYSŁAW BOCZKAJ, były dyrektor Rzeszowskiego Biura Projektów — gdzie pracował mój kolega ze studiów. Był on jednym z projektantów nowej dzielnicy Kopenhagi o nazwie Koge na 180 tys. mieszkańców.

Dostałem od niego materiały dotyczące całej tej dzielnicy z infrastrukturą i zaleceniami jak to się robi, a w tym czasie Duńczycy słynęli ze świetnych opracowań centrów miejskich. Pomyślałem więc, że można ich doświadczenia przodujące w świecie przenieść na grunt Rzeszowa i zaproponowałem bardzo zdolnemu architektowi Ceskowi Mizerze wspólne opracowanie centrum miejskiego dla Rzeszowa. Wychodziliśmy z założenia, że znamy na tyle potrzeby wojewódzkiego miasta, iż uda się nam nakłonić władze do realizacji naszej koncepcji. Wykrystaliśmy teren na dwupoziomowe skrzyżowanie przy rondzie, zaprojektowaliśmy nowoczesne budynki, wielokondygnacyjne parkingi — wszystko to na terenie między hotelem „Rzeszów" a ulicą Grunwaldzką koło gmachu WRN aż do ulicy Asnyka. Zaprezentowaliśmy naszą koncepcję władzom, wtedy jednak ogłoszono ogólnopolski konkurs na śródmieście Rzeszowa i siłą rzeczy nasz projekt trafił do kosza. Było to naszą porażką.

Konkursy urbanistyczne miały w Rzeszowie krótką tradycję. Pierwszy ogólnopolski konkurs został ogłoszony na zagospodarowanie Drabinianki. Zwyciężył projekt katowicki, na drugim miejscu rzeszowski, a na trzecim warszawski.

— Drabinianka? — atakuje EMIL HOLZER — to jest nieszczęście dla Rzeszowa. To znaczy, rozwiązanie konkursowe było współczesne, mogące się podobać... Autorzy zdobyli nagrody, bo zaprojektowali Nowe Miasto z dużym rozmachem, wielkomiejskim, a decyzja ówczesnego prezesa spółdzielni mieszkaniowej Kukuryki zadecydowała o wyborze do realizacji najgorszego projektu, opracowanego przez Inwestprojekt w Warszawie. Był on oceniony najgorzej, a siłą został wtłoczony do realizacji z uwagi na to, że trzeba było ratować było jedno z biur Inwestprojektu, bo się rozlatywało z braku frontu pracy...

Warszawscy architekci dominowali nad rzeszowskimi przez wiele lat. W roku 1955 zlecono im nawet opracowanie projektu szczegółowego planu śródmieścia. Znane są fakty wypierania projektów opracowanych w Rzeszowie, tylko dlatego, iż „rzeszowiacy to nie to, co warszawiacy". Na warszawiaków nasi architekci mieli swoją nazwę: „tygrysy". Trzy takie warszawskie tygrysy, to jest trzech architektów Mokrzycki, Wierzbicki i Klyszewski, projektanci Domu Partii w Warszawie, wykosili projekt filharmonii autorstwa naszego architekta Jerzego Noska.

— Byłem wtedy dyrektorem Miastoprojektu — kontynuuje swoje wspomnienia Emil Holzer — propagowałem już w prasie i radiu projekt kolegi Noska i nagle dowiedziałem się, że koncepcja rzeszowska została zaniechana i przyjęta koncepcja warszawiaków. Oni może i robili dobrą architekturę, ale w porównaniu z projektem Noska zaprojektowali fatalną filharmonię. Jego projekt był lepszy, on rzeczywiście rozwiązywał ten zespół miejski zarówno urbanistycznie, jak i architektonicznie... A ta szkoła muzyczna przylepiona do budynku filharmonii jest dobra dla dużej gminy, a nie dla miasta wojewódzkiego... Dla naszych władz ważniejsi jednak byli warszawiacy. Ugięli się przed ich nazwiskami...

Jak widzimy, w pewnych konkurencjach wygrywają nie tyle lepsi, co ważniejsi. No ale takie jest życie. Aby jednak historia ta nie wywołała przekonania, że zawsze warszawiacy byli górą, trzeba opowiedzieć przygodę architekta Zbigniewa Tomaszewskiego, autora pierwszych wysokościowców w Rzeszowie, który ze starcia z warszawiakami wyszedł zwycięsko przy pomocy swoich zwierzchników. Chodziło zaś o to, że jego pierwsze w mieście wieżowce jeszcze nie wystrzeliły w niebo, tylko co dopiero wyszły z fundamentów, a już stały się solą w oku autorytetów budowlanych w skali kraju. Dlaczego? Pozwólmy sobie na pewną dygresję od tematu...

— Kiedy rozpoczynałem z początkiem lat sześćdziesiątych pracę nad planem Rzeszowa — wspomina WŁADYSŁAW HENNIG — wtedy wszyscy odbierali Rzeszów jako taki grajdoł, jeśli tak można powiedzieć, ot takie powiatowe miasteczko, które nie wiadomo z jakiej racji awansowało do rangi miasta wojewódzkiego i robi wszystko co może, żeby się do tej rangi przystosować. Podkreślano to z uśmieszkiem i pobłażaniem. Potem przyszedł okres, kiedy każdy przyjeżdżający stawał i ze zdumieniem patrzył co się z tym miastem stało? Ponieważ nagle, prawie z dnia na dzień patrząc w kategoriach czasu miasta, przebijano w nim wielkie dziury, w które weszły w wielkiej skali realizacje urbanistyczne typu trasy przelotowe czy duże bryły poszczególnych obiektów...

Takimi właśnie pierwszymi bryłami znaczącymi w krajobrazie miasta miały być wieżowce nad Wisłokiem przy ulicy Lenartowicza. To była rewolucja w systemie budownictwa w niewielkim przecież jeszcze mieście i nie spodobała się warszawskim władzom budowlanym. Toteż ledwo wzniesiono mury — roboty zostały wstrzymane. Taka praktyka mogła się przecież rozprzestrzenić w innych małych miastach, a po co „na wsi" budować wieżowce? A dla warszawiaków Rzeszów był pod względem zabudowy urbanistycznej „duża wsią" i trzeba przyznać, mieli na to dowody w wiejskiej zabudowie podmiejskich dzielnic i przyłączonych do miasta wioskach.

— Ja jako dyrektor Miastoprojektu, a Tomaszewski jako autor — relacjonuje Emil Holzer — mieliśmy straszne starcie z przewodniczącym Komitetu Budownictwa, Urbanistyki i Architektury w Warszawie doktorem Zygmuntem Skibniewskim. Żądano od nas przeprojektowania tych wieżowców, lecz myśmy odmówili. Wprawdzie Tomaszewski chciał się troszkę ugiąć, iść na ustępstwa, nie miał ochoty na wojowanie, jednak z kolei ja jako dyrektor biura nie mogłem się z tym zgodzić, aby projekt opracowany według wszelkich wymogów ustawowych, skrupulatnie, do ostatniego szczegółu, spotkał się z zarzutem, że jest źle zrobiony, źle przez nas opracowany. A tego domagała się od nas Warszawa. Kiedy odmówiliśmy spełnienia żądań Komitetu Budownictwa, grożono nam różnymi konsekwencjami, mimo to nie ugieliśmy się. Doszło wtedy do spotkania w Warszawie wiceprzewodniczącego WRN w Rzeszowie Zdzisława Czai z przewodniczącym KBUiA doktorem Skibniewskim, bo właśnie on podczas pobytu w Rzeszowie wpłynął na to, aby wstrzymać budowę wieżowców. Przybył na to spotkanie z Ministerstwa Gospodarki Komunalnej wiceminister Juliusz Goryński, przyszli różni dyrektorzy z Ministerstwa Budownictwa, Centralnego Zarządu Projektowania, tak że w sumie występowaliśmy przeciwko dwóm ministrom i różnym innym osobistościom, w tym naszym zwierzchnikom. A wszyscy — hurra na nas! Ja zabrałem głos dopiero później i rozegrałem tę partię o wieżowce po adwokacku: „Panowie — oświadczam — to, że spotykamy się tutaj w tym gronie jest zapewne jakąś pomyłką. Oto proszę — zacząłem wykładać dokumenty jak gracz karty atutowe — oto tu jest dokument zezwalający na budowę wydany przez Komitet Budownictwa, a więc organ, któremu doktor Skibniewski przewodniczy. Jest formalne zezwolenie? Jest... Oto dalsze dokumenty wskazujące niezbicie, że projekt został zrobiony zgodnie z wszystkimi wymogami, jakie w naszym kraju ustawowo obowiązują... A więc nie ma sprawy, nie ma żadnego problemu..." Po mnie zabrał głos wiceminister Goryński i mówi: „No tak... To właściwie nie będziemy w Rzeszowie tworzyć ruin i zostawiać niewykończone budynki. Kary umowne zapłaci nasze ministerstwo, proponuję odblokowanie tej budowy i wydanie zezwolenia ze strony architekta wojewódzkiego na kontynuowanie robót...". I tak się stało. Wygraliśmy wojnę na szczeblu centralnym. Cztery pierwsze wieżowce stanęły w naszym mieście...

Tak więc architekci toczą wojny o to, aby pewne budynki zostały wzniesione lub aby pewne budynki nie stanęły w mieście. Kiedyś były to walki na linii Rzeszów — Warszawa. Dziś są to wojny domowe.

— Z początkiem lat sześćdziesiątych — przypomina HENRYK MICHALSKI — w Rzeszowie miała pojawić się stacja telewizyjna i szukano dla niej lokalizacji. W pierwszym projekcie zaplanowano dla niej miejsce przed dworcem kolejowym, tam gdzie obecnie mieści się pawilon nazywany „Supersamem". Kiedy nie było jeszcze tej sprowadzonej z NRD blaszanej „Kaufhalle", przewidywałem na tym miejscu wyjście z dworca głównego dla rozprowadzenia masy ludzkiej w głąb miasta. Toteż choć się jeszcze na telewizji i jej wymogach technicznych nie za bardzo orientowałem, już mówiłem: Słuchajcie! Nie róbmy takich głupstw! To nie jest miejsce dla stacji telewizyjnej! Niektórym patriotom Rzeszowa podoba się ta lokalizacja tylko dlatego, ponieważ nawet z pociągu byłoby widać, że dorobiliśmy się przekaźnika telewizyjnego. W tym miejscu aż prosi się o przekucie pod torami kolejowymi przejścia dla pieszych, bo z miasta wychodzi się wprost na peron i tory kolejowe. Zróbmy więc takie wyjście z dworca, ponieważ sam dworzec jest ciasny i plac przed dworcem jest ciasny...".

Tak więc na szczęście nie stanęła przed dworcem stacja telewizyjna, lecz i nie ma wyjścia z peronów w proponowanym miejscu. Tunel pod torami wprawdzie zrobiono, kończy się on jednak na terenie kolejowym. Ale to już inna historia i powróćmy do sprawy rozwoju przestrzennego miasta.

W roku 1972 rozstrzygnięty został ogólnopolski konkurs na śródmieście Rzeszowa i laureatem tego konkursu wraz ze swoim zespołem został architekt Stanisław Wantuch. Plan przewidywał nowoczesne centrum w okolicy między rondem a stacją kolejową. Tak więc i ten projekt, jak i poprzedni wykonany wcześniej przez Mizerę i Boczkaja, uwzględniał to samo miejsce na centrum. Jest to pewne novum, ponieważ nikt poprzednio nie wyobrażał sobie centrum w tym miejscu, wiązano go raczej z rejonem ulicy 3 Maja i Zamku.

Plan zabudowy śródmieścia z jego centrum zyskał nie tylko formalne poparcie władz miasta, lecz wymyśliły one śmiałą, wręcz nowatorską metodę zabudowy centrum zgodnie z planem. Otóż na wzór spółdzielczości mieszkaniowej jednostka inwestycyjna reprezentująca władze miejskie podszukała sobie „lokatorów", czyli różne instytucje państwowe zainteresowane w pozyskaniu lokali w centrum, i postanowiła zbudować w centrum pod jednym nadzorem, oddając inwestorom klucze do gotowych lokali. Przystąpiono nawet do sprządzenia założeń techniczno-ekonomicznych tego centrum — a więc było to coś więcej, aniżeli sobie mogli zamarzyć architekci — i cała inicjatywa rozbiła się w roku 1975 po wprowadzeniu reformy administracyjnej kraju. Wyłonione zostały nowe województwa, powstały nowe miasta wojewódzkie i plan zabudowy śródmieścia Rzeszowa jako stolicy całego regionu przestał być aktualny w swej pierwotnej skali.

Czy jednak zmieniły się przez to szanse rozwojowe Rzeszowa? W dziesięć lat po reformie administracyjnej kraju można po-

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Bogdan Loebl

Światło

Prosiłem o Twoją śmierć
z trudem przypominanymi słowami pacierza
Tak daleko odbiegłem od Twoich kolan
z owej pożółkłej fotografii
Rychło przerosłem Cię o głowę
lecz ani razu o miłość
teraz boli mnie Twoje sterane ciało
które tak lekkomyślnie torturowałem
Rana która powstała we mnie po Tobie
nie chce się zasklepić

Prosiłem o Twoją śmierć
i załatwiono moją prośbę pozytywnie
Teraz przychodzisz do mnie we śnie
lecz nie wiem — z pretensją czy
podziękowaniem?
„Nie marzniesz? — pytam — Czy Twoje
cierpienie skończyło się?"
Wiem że chcesz mi ofiarować czułość
którą nosisz dla mnie
w zniekształconej artretyzmem dłoni

Czasem zamiast matki
przychodzi do mnie mój trzyletni brat
Również milczy
jakby się bał że mnie dotknie
jakimś chłodnym słowem
„Nie puchniesz? — pytam Możesz już
biegać
i kąpać się w rzece?
Prosiłem o Twoje życie ale odrzucono
moją modlitwę
Gdybyś był został
miałbyś teraz trzydzieści pięć lat"

Którejś nocy bezsennej
albo — daj to Boże — odpoczywającej w
głębokim śnie
przyjdziecie do mnie oboje
matka i jej maleńki trzydziestopięcio
a może już czterdziestoletni syn
Ty mamo wyciągniesz do mnie prawą
a brat lewą rękę
i nareszcie wyprowadzicie mnie z tunelu
postawicie przed ŚWIATŁEM
i może ono skieruje na mnie
swój wchłaniający krew promień

Ryszard Zamojski

Przed słowem

Zobacz
kogo za sobą kryjesz
za kim
ty stoisz
w ukryciu rozległym
czuwaniu
gorliwie głoszący prawdę
nigdy nie wiadomo
kto w ust czyńcu
zostanie bez winy
kogo w śnie nieskrępowanym
pojmiesz i oskarżysz
Poncjusz Piłat
któremu włożono w usta
najlepsze
kwestie
w Nowym Testamencie
na pytanie
czym
jest
prawda
nie potrafi dać
żadnej
odpowiedzi

Emilian Bliźniak

Korzenie twórczości JULIUSZA SŁOWACKIEGO

(175 rocznica urodzin)

Uroczystości, jakie miały miejsce w rodzinnym mieście Juliusza Słowackiego — Krzemieńcu Wołyńskim — na początku tego miesiąca z okazji 175 rocznicy urodzin poety, które oglądaliśmy w ostatnim wydaniu „Pegaza" zachęciły mnie do przypomnienia kilku epizodów z życia poety.

Małe wołyńskie miasteczko, gdzie 4 IX 1809 urodził się Słowacki, przeżywające szczególny rozkwit za panowania ostatnich Jagiellonów, a szczególnie królowej Bony (do dziś istnieje tam góra Bony) miało się stać po rozbiorach Polski obok Wilna ogniskiem kultury polskiej na wschodnich rubieżach dawnej Rzeczypospolitej. Tu właśnie Tadeusz Czacki w 1805 roku, na kulturowo-oświatowych fundamentach położonych przez zakony Bazylianów i Jezuitów, a później Komisję Edukacji Narodowej, założył słynne Liceum Krzemienieckie, które z biegiem lat wykształciło się w ośrodek umysłowy Wołynia, Podola i Ukrainy. Ten na wskroś nowoczesny zakład dysponował bogatą biblioteką, w tym księgozbiorem po Stanisławie Auguście Poniatowskim, laboratorium chemicznym, licznymi gabinetami, drukarnią, a nawet własnym ogrodem botanicznym, założonym przez Irlandczyka — Mac Claire'a, a doprowadzonym do rozkwitu przez prof. Bessera. Wykładali tu tak znakomici profesorowie jak ojciec poety — Euzebiusz Słowacki (historyk literatury), botanik Wilibald Besser, matematyk Józef Czech, klasyk i poeta Osiński, poeta i autor „Barbary Radziwiłłówny" — Alojzy Feliński, powieściopisarz Józef Korzeniowski, znakomity historyk Joachim Lelewel czy też artysta malarz Józef Pitschman. Oprócz przedmiotów podstawowych uczono tu: muzyki, tańca, jazdy konnej, fechtunku. Tak postawiony zakład i z taką kadrą pedagogiczną stworzył odpowiedni klimat nie tylko dla zdobywania wiedzy, ogłady towarzyskiej, był również kuźnią wychowania obywatelskiego i patriotycznego.

Nic więc dziwnego, że uczyło się tu wielu późniejszych wybitnych Polaków takich jak: autor „Marii" — Antoni Malczewski, poeci: Stefan Witwicki, Tomasz August Olizarowski, Tymko Padura, Maurycy Gosławski — autor znanej piosenki „Gdyby orłem być...", historycy: Aleksander Przeździecki, Franciszek Sobieszczański, Leon Rzyszczewski oraz wielu innych wybitnych obywateli, a wśród nich Karol Kruzer — fundator teatru im. J. Słowackiego w Krakowie.

Zauroczyło poetę również samo miasto Krzemieniec, zwane „Szwajcarią wołyńską", a szczególnie ruiny starego zamczyska leżącego na szczycie ponad 200-metrowej góry Bony. To o nim pisał poeta w przedmowie do „Balladyny".

„Ileż to razy, patrząc na stary zamek, koronującej ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, rycerzy, że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne sofoklesowskie... Niestety...".

Drugim, bardzo ważnym czynnikiem inspirującym twórczość Słowackiego była matka, której subtelna kultura umysłowa i muzyczna kształtowały wrażliwą duszę syna. Potwierdza to sam Słowacki w jednym z listów do matki, gdzie pisze: *„Jeśli kiedykolwiek w sercu mem miałem jaką iskrę poezji, od Ciebie ją tylko wziąłem".*

Nie ma w literaturze drugiego przykładu, aby matka tak silnie oddziałała na twórczość syna. Matka ukształtowała duchowo nie tylko syna poetę, ale i człowieka, o którym kiedyś w Krzemieńcu powiedziała słowami z bajki Krasickiego: „Mam jednego, ale lwa". Ona to potrafiła synowi w poetyckim spojrzeniu ukazać piękno rodzinnego Krzemieńca „białego miasteczka w czereśniowych sadach, ujętego w zielony wieniec wzgórz". Ona to spowodowała, że tak jak Mickiewicz do końca życia wracał „do pól nadniemeńskich", to Słowacki wracał wspomnieniami nad rodzinną Ikwę.

Rozmiłowana w literaturze — bakcyl ten zaszczepiła również synowi, a Byron i Swedenborg stali się dzięki matce jego ulubionymi autorami. Po zgonie pierwszego męża, wyszła za mąż po raz drugi, wówczas jej salon w Wilnie, był jednym z pierwszych polskich salonów literackich, gdzie zetknęły się dwie kultury: stara pseudoklasyczna i nowa romantyczna. Bywał tu również Mickiewicz, którego ogłoszono wtedy „Konrad Wallenrod" wywarł wielki wpływ na młodziutkiego poetę. Mickiewicz, w szereg lat później w salonie Goethego w Weimarze — „salonowi pani Słowackiej miał oddać pierwszeństwo".

W takim klimacie wyrastał Słowacki — poeta, Słowacki — człowiek. Uzupełnieniem tego wszystkiego była muzyka, która stanowiła drugą pasję pani Słowackiej. Wielkim przeżyciem dla matki i syna było ich spotkanie we Wrocławiu po długich latach tęsknoty i rozłąki. Spotkanie to było zarazem pożegnaniem, a sam poeta pisze o nim tak:

„Zaszedłem był raz jeszcze na ulicę Ponthieu przy Elizejskich Polach do domu, którego oddźwierny z uprzejmością odpowiadał, jak się Monsieur Jules ma... Tam na najwyższym piętrze pokoik był, ile można najskromniej umeblowany, a okna dawały na przestrzeń, jaką się z wysokości zawsze widuje, tym jednym tylko upiększoną, iż czerwone słońca zachody w szyby biły łunami swymi. Kilka doniczek z kwiatami na ganku przed oknami stało, a ośmielone przez mieszkańca wróble złatywały tam i szczebiotały. Obok drugi maleńki był pokoik — to sypialnia".

Nie zabrała matka syna z Wrocławia do Krzemieńca, starała się jednak zachować i zgromadzić w swoim mieszkaniu po ukochanym jedynaku, to co można było. Napisane i wydane utwory, szereg drobiazgów takich jak: krzesełko i stoliczek z lat dziecinnych, dywanik znad łóżka, zegarek, olejny portret pędzla Rustena przedstawiający Słowackiego jako amorka, a nawet paryską maszynkę do parzenia kawy, a przede wszystkim listy, najpiękniejsze listy, jakie kiedykolwiek pisywał poeta do matki. Matka poety zmarła w Krzemieńcu, pochowana obok rodziców — Januszewskich pod tą samą czereśnią, którą Słowacki nazywał „czereśnią babuni" i pod którą to i on chciałby „kiedyś spocząć pod jej dobrotliwym cieniem". Nie wrócił Słowacki do rodzinnego Krzemieńca, o czym marzył za życia. Ojczyznę opuścił w marcu 1831 roku, jako kurier dyplomatyczny Rządu Narodowego w czasie Powstania Listopadowego — do Ojczyzny wrócił dopiero w roku 1927 Sprowadzono i pochowano jego prochy na Wawelu wśród najbardziej zasłużonych: księcia Józefa Poniatowskiego, Tadeusza Kościuszki, Adama Mickiewicza. Ale nim to nastąpiło, spoczął najpierw Juduisz Słowacki na cmentarzu Montmartre w Paryżu (zmarł 3 IV 1849 r. — 135 rocznica śmierci poety)

Przed samą śmiercią mieszkał poeta w domu przy zbiegu ulic du Colise'e i de Ponthieu pod nr 30, dzisiaj 43. Warto przypomnieć co pisze o tym mieszkaniu w „Czarnych i białych kwiatach" Cyprian Kamil Norwid:

Wizyta ta miała miejsce tuż przed śmiercią poety. Rozwijająca się sukcesywnie gruźlica przerwała życie 40-letniego wybitnego poety, którego na cmentarz Montmartre odprowadziła niewielka grupa bliskich przyjaciół. Wśród nich Reitzenheim przyjaciel poety, który własnym sumptem wzniósł Słowackiemu nagrobek, istniejący do dziś i starannie zawsze utrzymany dzięki miejscowej Polonii. Byłem tam czterokrotnie i zawsze zastałem na symbolicznym dziś grobie Słowackiego biało-czerwone kwiaty. I chyba w 175 rocznicę urodzin Słowackiego i 135 rocznicę jego śmierci należy przypomnieć słowa francuskiego krytyka Sarrazina, który Słowackiego nazwał „władcą świata wymarzonego oraz człowieka oddanego Ojczyźnie".

Po XXIII „JESIENI TATRZAŃSKIEJ" w Zakopanem

Zakopiańska „Jesień Tatrzańska" jest znana w kraju, a także w Pirenejach, Alpach, na Kaukazie, w Skandynawii i na Półwyspie Apenińskim. Głównym wydarzeniem tatrzańskiego święta jest Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich, który w tym roku odbył się po raz szesnasty. Uczestnikami konkursów o „Złote Ciupagi" było dotychczas 185 zespołów prezentujących folklor europejskich i pozaeuropejskich ziem górskich. CIOFF — Międzynarodowa Rada Organizacji Festiwali Folklorystycznych — z siedzibą w Confolens we Francji, działająca pod egidą UNESCO wyróżnia szczególnie zakopiański festiwal spośród blisko siedemdziesięciu podobnych imprez organizowanych co roku w świecie ze względu na fakt, że konsekwentnie zachowuja charakter konkursowy, a także jako główny cel stawia ochronę czystości folkloru góralskiego.

Konsekwencja ma dobre i złe strony. O dobrych mówiła w tym roku jedna z jurorek, radziecka etnografka, Kandydat Nauk Biełła Malicka: „Zakopiański festiwal jest jedną z najważniejszych imprez organizowanych pod patronatem CIOFF, przeciwstawia się bowiem pseudoludowości, korzysta ze współpracy etnografów, etnomuzykologów, etnochoreografów. Wyznacza właściwą drogę rozwoju folkloru prezentowanego przez zespoły regionalne pieśni i tańca To jest sukces Zakopanego i impreza nie powinna utracić swego unikatowego charakteru". Polski etnograf — prof. Roman Reinfuss, który „Jesieni Tatrzańskiej" i festiwalowi, jako przewodniczący międzynarodowego jury towarzyszy od samego początku, stanowczo broni autentyzmu. Nie brak jednak osób, które kwestionują celowość konkursowego charakteru zakopiańskiego festiwalu, a należy do nich m. in. serdeczny przyjaciel Polski i Zakopanego — Jan Roche, przedstawiciel CIOFF z Francji, który wolałby oglądać zespoły nie tylko w namiocie festiwalowym, ale częściej w plenerze, w tatrzańskim krajobrazie, na ulicach.

Nie po raz pierwszy w tym roku dostrzeżono, iż regulamin Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich nie jest precyzyjnie sformułowany. Wymienia wprawdzie cztery kategorie, według których są w Zakopanem oceniane zespoły — folklor autentyczny, artystycznie opracowany, stylizowany i rekonstruowany, ale jury i tak zmienia często określoną przez zespół kategorie. Zespół zgłasza się np. do pierwszej, jury przesuwa go do drugiej bądź trzeciej. W tym roku odmówiono oceny grup z Bułgarii i Szwecji, dziecięco-młodzieżowego zespołu z Pałacu Pionierów z Sofii za to, że nie był zespołem dorosłym. Na nic zdało się wyjaśnienie jego kierownictwa, że w Bułgarii dzieckiem przestaje się być po osiągnięciu... trzynastego roku życia. Z kolei szwedzki zespół trudno było uznać za reprezentujący folklor ziem górskich. I jeszcze inna sprawa: czy zespoły węgierskie odpowiadają kryteriom zakopiańskiego festiwalu, bo pokazują pod Giewontem chłopski, wiejski folklor. Obniżyła się również ranga „Złotych" i „Srebrnych" Ciupag. Dawniej „Złota Ciupaga" stanowiła Grand Prix festiwalu, a w tym roku zaś np. w kategorii zespołów artystycznie opracowanych rozdano aż trzy „Złote". Oprócz owych „Ciupag" są jeszcze „Puchary" i „Liście" „Jesieni Tatrzańskiej" i wiele nagród pozaregulaminowych i dlatego właśnie „Złota Ciupaga" powinna być tylko jedna w poszczególnych kategoriach albo wręcz na całym festiwalu.

XXIII „Jesień Tatrzańska" potwierdziła, że Zakopane potrafi zapewnić swym gościom zajmujący program. Znakomite były tegoroczne wystawy — „Czas stroju podhalańskiego". „Zakopane w 40-leciu PL", malarstwo i rzeźba Henryka Burzca, plastyka artystów słowackich z Wysokich Tatr, itd. Tłumy oblegały stoiska dwunastu spółdzielni rękodzieła ludowego i artystycznego podczas „Cepeliowskiego" — wielkiego kiermaszu na Krupówkach.

XVI Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich pozostał najważniejszym wydarzeniem tego święta. Wystąpiło 17 zespołów z 14 krajów Europy. „Złote Ciupagi" stały się własnością zespołów: „Halny" z Zakopanego (kategoria folkloru autentycznego), „Twórczość" z Nowego Sącza, „Sasunik" z Armenii (ZSRR) i „Turnavele" z Blaj w Rumunii (kategoria folkloru artystycznego opracowanego) oraz zespołu tureckiego z Istambułu — Barkierkov (kategoria folkloru stylizowanego). Wszystkie zespoły zdobyły sympatię publiczności. Cena biletu na jeden koncert wynosiła 200, a na finałowe — 500 zł. Międzynarodowe jury w swym protokole zawarło uwagę, że ceny biletów należy obniżyć, gdyż nie na każdym koncercie był komplet widzów w namiocie festiwalowym.

(PAP)

Rozpoczęcie roku szkolnego zwiększyło zainteresowanie i obroty (i tak nie najmniejsze) na giełdach książek. Największym popytem cieszą się te tytuły, których brak w księgarniach, słownik można kupić od 1500 zł wzwyż, wydawnictwa z klasyki literatury światowej i polskiej kosztują przeciętnie 7—8-krotnie drożej. Dużym wzięciem cieszą się podręczniki szkolne, które można nabyć, jak leci, za około 100 zł.

(dor)

Na zdjęciu: na giełdzie książek w Krakowie.

CAF — M. SOCHOR

MARZENIA I PORAŻKI ARCHITEKTÓW (II)

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

wiedzieć, że miasto nic nie straciło na rozmachu budowlanym i rozwoju przestrzennym. Jeżeli zaś chodzi o samo jego centrum, to nastąpiły pewne korekty i trudno powiedzieć, aby spotkały się one z aprobatą architektów, choć władze w zasadzie trzymają się planu.

Co budzi dyskusje w środowisku architektów? Otóż to „trzymanie się planu" ma dwa wyjątki: Po pierwsze, tak oczekiwane przez miasto centrum telekomunikacyjne jest przez architektów uznane za niewypał pod względem lokalizacyjnym. Po drugie, obok Urzędu Wojewódzkiego lokalizuje się w wysokościowcach budownictwo mieszkaniowe, co jest także błędem.

WŁADYSŁAW HENNIG:

— Trasy przelotowe czy duże bryły poszczególnych obiektów zarysowały jakby szkic nowej koncepcji Rzeszowa. I to był krok zauważalny, krok naprzód w rozwoju miasta w latach pięćdziesiątych i początkach lat sześćdziesiątych. Potem przez koniec lat sześćdziesiątych, przez lata siedemdziesiąte nastąpił ogromny zastój. Wszystkie następne pięciolatki właściwie niczym szczególnym w obszarze śródmiejskim nie zaznaczyły się. A jeśli się zarysowały, to w moim odczuciu nieprawidłowościami... Za taką niepraw idłowość uważam zlokalizowanie i zrealizowanie wielokondygnacyjnego budynku mieszkalnego na skrzyżowaniu ulicy Grunwaldzkiej i Lenina. Przecież należy pamiętać, że ludzie pracujący w skrzydle Urzędu Wojewódzkiego od strony trasy E-22 twierdzą, że tam nie da się pracować, taka jest duża uciążliwość hałasu. Tam jest akurat miejsce czerwonego światła i startuja stamtąd samochody z powtarzającą się regularnością. W tym miejscu jest również duże natężenie spalin. Wprawdzie funkcja tego budynku mieszkalnego może być w przyszłości zmieniona, może być on przeznaczony na jakieś inne cele, wprawdzie istnieją techniczne możliwości wyciszenia i zabezpieczenia przed hałasem i spalinami, istnieją nawet możliwości wprowadzenia tam klimatyzacji i osobiście obserwowałem w Paryżu takie rozwiązania techniczne znakomicie funkcjonujące w znacznie bardziej uciążliwych miejscach, ale Rzeszów to nie Paryż i ludzie się pomecza...

STANISŁAW WANTUCH:

— Jeżeli wytrzymaliśmy 35 lat bez centrum, to nie śpieszmy się dalej, bo w ciągu pięciu lat tego centrum nie możemy zrealizować. Możemy zrealizować formę, a przecież centrum to nie forma, czyli nie chodzi o postawienie sześciu drapaczy chmur, tu chodzi o postawienie budynków, które tworzą centrum w sensie użytkowym, usługowym, funkcjonalnym. Niektórzy tłumaczą sobie: „Mamy teraz w śródmieściu teren, jest on uzbrojony, w związku z tym możemy budować mieszkania. Ale mieszkaniówka centrum nie zastąpi. Centrum — musi być centrum. Bo jeżeli zabudujemy teren mieszkaniówką, to gdzie będziemy robić centrum? Jeżeli więc centrum możemy robić za pięć lat, dziesięć, dwadzieścia, to nam się opłaca poczekać! Zabudowa terenu w sposób atrakcyjny i ładny architektonicznie nie zastąpi nam centrum usługowego. Tu pomylono pojęcia! My chcemy realizować centrum dla miasta około 180-tysięcznego, a w dalszej perspektywie nieco ponad dwustutysięcznego, z dojściem do około 350 tysięcy, bo czy się komu podoba czy nie, to i tak dojdziemy do tej liczby mieszkańców. Rozwoju miasta nikt nie zatrzyma, a rosnący Rzeszów musi mieć centrum. Zablokowanie zaś tego terenu kilkuset mieszkaniami powoduje nam zniknięcie z planu miasta czerwonej plamy, którą oznaczaliśmy centrum Rzeszowa! Tu właśnie pasuje słowo „porażka architekta". Widzi on jak przegrywa sprawę miasta i nic nie może zrobić, choć latami pracował nad tym tematem...

EMIL HOLZER:

— Czy w ogóle jest sens lokalizowania budownictwa mieszkaniowego w rejonie największego ruchu, gdzie jest kolej, dworzec autobusowy, trasy przelotowe? To jest bezsens. Ludzie najpierw cieszą się, a później narzekają na hałas, na spaliny, na kurz w mieszkaniu.

HENRYK MICHALSKI:

— A gdzie się mają podziać dziadkowie, babcie, dzieci? Zbudowanie szesnastopiętrowego budynku mieszkalnego w tym miejscu to jakieś nieporozumienie...

Jeden z ważnych ludzi w mieście powiedział architektom na ich argumenty: „Panowie, te mieszkania to wezmą ludzie i jeszcze grube dolary zapłacą, będą się bardzo z tych mieszkań cieszyć...".

— Przy takim rozumowaniu — ironizuje Stanisław Wantuch — można postawić budynek mieszkalny na rondzie. Ludzie też tam zapłacą dolarami za mieszkania, ale nie dlatego, że im się to miejsce podoba, tylko że mieszkań nie ma i kupią wszystko, co im się oferuje...

* * *

— Wydaje mi się — porządkuje swoje refleksje Władysław Hennig — że obecnie przy odpowiednim ustawieniu pracy rad narodowych, w tym przypadku Miejskiej Rady Narodowej, przy wróceniu do terytorialnej samodzielności, łatwiej będzie o przedyskutowanie każdej ważnej dla miasta decyzji, aby nie było przypadkowości i woluntaryzmu. Pod warunkiem jednak, że Miejska Rada Narodowa będzie chciała korzystać z ocen, opinii, doświadczenia i wiedzy osób w tym względzie kompetentnych, a nie będzie opierała się na własnych, osobistych odczuciach radnych, czasem bardzo szczerych, bo wszyscy kochamy swoje miasto, lecz doprowadzających do błędów w prawidłowym jego rozwoju...

Te uwagi można poprzeć przykładami woluntaryzmu, bo doprowadzały one do błędów w rozwoju miasta. Na przykład budowa w śródmieściu centrum telekomunikacyjnego, to właśnie wynik ustaleń decydenta, ponieważ spodobał mu się zaprojektowany wystrój budynku. Dziś tego wystroju ze względów kryzysowych już nie będzie, a pozostanie w centrum miasta fabryka pełna automatów, które muszą mieć odpowiednie warunki do pracy: bez kurzu i bez drgań. Tego śródmieścia im nie zapewni...

— Moim zdaniem — proponuje Henryk Michalski — szereg ważnych dla miasta decyzji powinno zapadać w obecności gremium ludzi, którzy czują pewne sprawy, znają się na problemach miasta i wspomogą architekta miejskiego, bo choćby on był dziś złoty, to niestety pewne uproszczone sposoby patrzenia na rozwój miasta pokutują latami i tak jak my ślizgaliśmy się na pewnych tematach w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, tak oni ślizgają się teraz...

— Moim marzeniem — powtarza architekt Jan Lisowski — jest taki stan, aby w mieście realizowano to, co proponują fachowcy. Inaczej porażka architekta — staje się porażką miasta...

* * *

A miasto — mimo wszystkich braków, błędów i wypaczeń — rozwija się nam i pięknieje.

Powstaje nowe pojęcie lat osiemdziesiątych: aglomeracja rzeszowska — teren od Tyczyna po Głogów, Kolbuszowę i od Łańcuta po Strzyżów.

Nowość dla Rzeszowa i 40 tysięcy osób dojeżdżających do pracy w mieście — to w bliskiej perspektywie kolej elektryczna miejska.

— Jak to wszystko ująć w planach rozwojowych? Powstaje nowa koncepcja Rzeszowa, zakładająca 145 tysięcy mieszkańców w roku 1985, 173 tysiące w roku 1990, oczekuje się 190 tysięcy w roku 1955 oraz około 270 tysięcy w okresie do 2015 roku.

Pracuje nad tym nowo powołany trzynastoosobowy Zespół Projektowy Miasta.

A więc architekci-wizjonerzy, widzą już Rzeszów XXI wieku...

JERZY POPOW

JAK PRZYJMOWAĆ NA STUDIA?

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Z uwagą przeczytałem wypowiedź pani Krystyny Stawarz w sprawie przyjmowania na studia („Widnokrąg" z 14 VIII br.). Jednak myśl, że może być więcej podobnych głosów, zaniepokoiła mnie bardzo. Mogłoby to przeważyć szalę w niewłaściwą stronę.

Dziwi mnie postulat zniesienia matury. Przecież jest to dowód opuszczenia szkoły średniej i osiągnięcia wieku dojrzałego, pierwsza próba własnych sił i samodzielności. Ma to także aspekt psychiczny, nie licząc faktu, że matura jest okazją do generalnej powtórki i ugruntowania wiadomości.

Pani K. Stawarz wypowiada się także przeciwko punktom za pochodzenie, są one dla niej przestarzałe. Czy grube odciski i brak lakieru na rękach robotnic też uznamy za przestarzałe? Czy rodzice z tych grup społecznych potrafią rozwiać wątpliwości dziecka, pomóc mu w nauce: nazwać prawidłowo części zdania, objaśnić co to jest epika lub rozwiązać równanie z jedną niewiadomą? Nieprzyznawanie punktów ograniczy tym dzieciom i tak wątpliwą drogę dalszej nauki.

Czy wiadomo autorce listu, że wyjazd uczniów szkoły wiejskiej do kina, teatru, muzeum należy do wyczynów? Zresztą większość z nich nie ma na to czasu, bo musi pomagać rodzicom. Nierzadko droga do szkoły gminnej przekracza możliwości zdrowego dorosłego człowieka. To są tylko niektóre powody prowadzące do tego, że braki w rozwoju młodego człowieka próbuje się wyrównać punktami.

Nie rozumiem dlaczego o kierunku studiów i zawodzie na całe życie dorosłego bądź co bądź człowieka miałby decydować wychowawca. Czy ładnej, zgrabnej dziewczynie należy przeszkadzać w decyzji zdawania na studia techniczne lub rolnicze i wmawiać w nią, że powinna zostać gwiazdą filmową, chociaż ona nie ma na to żadnej ochoty?

Zgadzam się z tym, aby utworzyć próbny okres na studiach. Należy przyjmować wszystkich chętnych maturzystów bez jakichkolwiek egzaminów wstępnych. Po kilku miesiącach nauczania przedmiotów ogólnych należy przeprowadzić egzaminy i dopiero wtedy dokonać selekcji. Ten sposób nie wyrówna w pełni braków nauczania ze szkoły podstawowej i średniej, ale przynajmniej w części może uratować talenty uzdolnionych młodych ludzi.

Statystyka podaje następujące liczby: w roku bieżącym podania złożyło 75 tys. maturzystów na 40,5 tys. miejsc na studiach. Przyjęcie wszystkich oznacza zatem dwukrotnie większe koszty. Skąd wziąć na to pieniądze? Moim zdaniem można podnieść ceny alkoholu. Wesela i imieniny nie muszą być tak mocno zakrapiane. Ludzie trzeźwiejsi łatwiej uświadomią sobie istnienie wyższych celów niż te, którymi kierują się dotychczas.

Stanisław Fils
(adres znany redakcji)

PRZYSZŁOŚĆ MAJĄ LUDZIE ZDOLNI

W dyskusji wzięła udział załoga Zakładów Wyrobów Galanteryjnych, największego przedsiębiorstwa Lubaczowa zatrudniającego ponad 600 osób.

ANIELA DAMM, składacz, lat 52, osiem lat pracy w zakładzie:

Jestem za premiowaniem dzieci z rodzin robotniczych i chłopskich. Ta młodzież ma trudniejsze warunki nauki i bardziej doceni to, co zdobędzie w życiu. Maturę powinien zdać każdy, w ten sposób osiąga się dojrzałość. Nie wykluczam jednak połączenia matury i egzaminu wstępnego. Niech będą kursy przygotowawcze dla uczniów starających się na studia. Na nich poznają prawdę o studiach, dowiedzą się czego szukają i co chcą osiągnąć.

Dobrze, że pomyślano o rocznej pracy przed rozpoczęciem studiów. Po roku każdy będzie mógł docenić trud robotnika i same studia. Egzamin wstępny powinien być dopiero po pracy, kiedy człowiek więcej zrozumie z życia i nauki.

Jestem jak najbardziej za kierowaniem na studia przez zakłady pracy przodujących robotników. Jeśli tylko chcą się uczyć, to trzeba ich poprzeć, niech idą.

Jestem za rokiem zerowym na studiach dla pracujących.

STANISŁAW KRZACZYŃSKI, nastawiacz maszyn i urządzeń, lat 28, 9 lat pracy w zakładzie:

Punkty za pochodzenie są potrzebne. Dzieci robotników i chłopów nie mają takich warunków startu życiowego jak dzieci inteligenckie. Nie we wszystkich szkołach nauczanie jest na takim poziomie jak w dużych miastach. Jestem za zwiększeniem liczby punktów za pochodzenie do 25.

Konieczne jest zachowanie obecnego systemu: matura i egzamin wstępny. Na niektórych kierunkach można by znieść egzamin, ale tylko tam, gdzie jest mała liczba kandydatów. Połączenie matury z egzaminem nie ma sensu, bo nie każdy chce, albo ma warunki, aby iść na studia.

Jeśli wprowadzi się skalę 100-punktową to jestem za przyznawaniem 25 punktów za dobre wyniki w szkole średniej. Jak ktoś tyle lat dobrze się uczył, należy to premiować.

Jestem za wprowadzeniem przed studiami obowiązku rocznej pracy zawodowej i służby wojskowej, żeby ci ludzie, którzy w przyszłości zostaną pracownikami umysłowymi i być może nigdy nie pracowali fizycznie, poznali smak pracy. Egzamin byłby przed rozpoczęciem pracy, po roku można wiele stracić z wiadomości ze szkoły średniej. Konieczne są kursy przygotowawcze, gdyż nie każdy jest zorientowany jak jest na studiach i każda szkoła inaczej przygotowuje.

Jestem za kierowaniem na studia przodujących robotników. Pracownik, który dobrze zna się na swojej robocie i mógłby zająć lepsze stanowisko, nie może tego robić, bo nie ma wyższego wykształcenia. Powinien być rok zerowy.

JANINA STADNICKA, 37 lat, operator automatu, piętnaście lat pracy w zakładzie:

O przyjmowaniu na studia powinna decydować wiedza. Jeżeli dziecko robotnicze czy chłopskie jest zdolne, to może w życiu być kimś, a punkty mu w tym nie pomogą. Przyszłość mają tylko ludzie zdolni.

Jeśli zakład ma takie potrzeby, powinien kierować na studia przodujących robotników. Jednak potrzebny jest rok zerowy. Kilkuletnia przerwa powoduje, że nie wszystko się pamięta.

Bardzo dobre są kursy przygotowawcze, bo pomagają przygotować się do studiów.

ANDRZEJ WLEZIEŃ, samodzielny konstruktor, lat 35, piętnaście lat pracy w zakładzie:

Punktów nie powinno być. Nie należy premiować za coś innego niż nauka. Ale aby tak było muszą być wyrównane poziomy w szkołach średnich. Jestem za pracą co najmniej rok przed studiami, ale młodzież nie powinna utracić kontaktu z nauką. Zatem praca w zmniejszonym wymiarze godzin, a po roku egzamin na studia.

Kursy przygotowawcze są potrzebne. Kandydaci powinni mieć możliwość samodzielnej pracy nad zdobywaniem wiedzy, to przygotowałoby ich do studiów.

Kierowałbym na studia dla pracujących Sam po sobie wiem, że można pogodzić naukę i pracę.

ROMAN MYTKO, szef produkcji, lat 45, dwadzieścia sześć lat pracy w zakładzie:

Należy skończyć z segregacją na inteligentów, robotników i chłopów. Sam zdobyłem wyższe wykształcenie zaocznie, rozpocząłem pracę jako ślusarz. Dlaczego moje dziecko jest karane za to, że zostałem pracownikiem umysłowym. Żadnych punktów za pochodzenie. Jeżeli już byłyby jakieś punkty to środowiskowe, a nie społeczne. Sam kończyłem technikum mechaniczne w Rzeszowie i wiem jaka jest różnica między tą szkołą, a małomiasteczkowymi technikami.

Jestem za większym preferowaniem uczniów bardzo dobrych. Należy dawać punkty za oceny w szkole średniej. Niech przedstawiciele wyższych uczelni będą przy maturze. Należy poszerzyć zakres egzaminów wstępnych, oprócz prac pisemnych powinny być rozmowy z kandydatami. Praca społeczna w szkole średniej też powinna być premiowana przy przyjmowaniu na studia.

Należy preferować pewne kierunki studiów, takie które są niezbędne gospodarce narodowej.

Praca przed studiami powinna być połączona z nauką. Ten rok skończyłby się egzaminem, na którym głos decydujący miałby nauczyciel akademicki.

Jestem za kierowaniem na studia przodujących robotników. Robić dla nich rok zerowy — niech spróbują, bo ze studiami to nie jest taka prosta sprawa. Rok zerowy organizowałbym w wielu ośrodkach, żeby nie zmuszać ludzi do jeżdżenia na zajęcia po kilkaset kilometrów. Nie kierowałbym robotników na studia dzienne, bo znowu byłaby segregacja: ci na łasce rodziców, a ci skierowani z zakładu.

Notował MARIUSZ LEWKOWICZ

Scena ze spektaklu rzeszowskiej „Estrady" „Julia czyli delikatność uczuć" w reżyserii Juliana Krzywki. Występują: T. Nalepa, M. Kubasińska, Z. Statkiewicz, J. Krzywka, K. Mistag, A. Tatrzański. *Fot. ARCHIWUM*

Z pracownikami PPiE „Estrada" w Rzeszowie LUCYNĄ KRZYSZTOŃ — główną księgową, DARIUSZEM DUBIELEM — dyrektorem i kierownikiem artystycznym i ANTONIM JAKUBCZAKIEM — kierownikiem działu programowania i organizacji imprez — rozmawia JAN GRYGIEL.

— Znajduję się w gronie ludzi, którzy albo pamiętają prawie całe 25 lat dziejów „Estrady", bo tak długo w tej placówce pracują, albo, jak w przypadku dyrektora Dubiela, wiedzą co się w niej będzie działo w najbliższym czasie, bo nią kierują.

Panie dyrektorze, czy Estrada w Rzeszowie powstała w wyniku jakichś lokalnych inicjatyw, czy też została powołana administracyjnie zarządzeniem dotyczącym podobnych placówek w kraju?

D. D.: — Była to tendencja ogólnopolska. W latach 40-ych działała w całym kraju spółdzielnia artystyczna pod nazwą „Artos". W Rzeszowie istniała agencja krakowskiego oddziału tej spółdzielni. Dopiero z dniem 1 stycznia 1959 roku, decyzją Wojewódzkiej Rady Narodowej, zostaje ona przemianowana na Wojewódzką Agencję Imprez Artystycznych, a w marcu 1962 r. oficjalnie na Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych. W roku 1982 z uwagi, na poszerzony zakres zadań przedsiębiorstwa, zmieniliśmy jego nazwę na Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Artystycznych — Estrada.

— Jak się to zaczynało w pierwszych latach? Czy było to od razu wejście na scenę z własnymi programami artystycznymi, czy też działało się na zasadzie ajencji — kupno — sprzedaż?

A. J.: — Z początku była to działalność wyłącznie agencyjna. Dopiero gdzieś od 1960 roku działaliśmy na dwu płaszczyznach. Jedną z nich to opieka nad miejscowym zespołem i prezentacja własnego programu, który prowadził wtedy ówczesny dyrektor, nieżyjący już Julian Krzywka. Był to pierwszy dyrektor i równocześnie kierownik artystyczny rzeszowskiej Estrady. W skład tamtego pierwszego zespołu wchodzili bracia Kozieniowie, Zdzisław i Stanisław, Jerzy Statkiewicz, Alicja Marecka, Jadwiga Strzelecka, a za kilka miesięcy doszła z Wrocławia Anna German. Niezależnie od tego sprowadzaliśmy inne zespoły estradowe z kraju i przedsiębiorstwo organizowało ich występy.

— A więc samodzielna działalność artystyczna zaczęła się tu dość wcześnie. I chociaż na ogół o „Estradzie" na co dzień nie mówi się zbyt wiele lub mówi się nie najlepiej, gdy np. prezentujecie czyjś kiepski program, gdy za waszą rękę grasują czasem chałturszczycy, to jednak trzeba pamiętać, że przez te 25 lat widniało na waszych afiszach sporo znaczących nazwisk. Niektórzy artyści tu zaczynali swą karierę. Może przypomnimy sobie tych ludzi. Mówiliśmy przed chwilą o braciach Kozieniach. Wiadomo, że Zdzisław Kozień stał się później bardzo popularnym i lubianym w całym kraju aktorem i jest nim do dziś. Mówiliśmy o nieżyjącej już, niestety, Annie German, znakomitej polskiej piosenkarce, znanej i bardzo cenionej w wielu krajach europejskich.

Warto wspomnieć też o popularnym kiedyś zespole muzyczno-wokalnym „Breakout"

A. J.: — Tak — Brekauci z Mirą Kubasińską i Tadeuszem Nalepą, Stan Borys, czyli Stanisław Guzek, który u nas zdobywał ostrogi estradowe, ale również trzeba powiedzieć o aktorach, którzy oprócz Kozienia występowali w naszym zespole artystycznym, a którzy później przeszli do teatrów dramatycznych. Byli tu Remigiusz Rogacki, Andrzej Tatrzański, Jerzy Złotnicki, Jerzy Statkiewicz, Ryszard Wojciechowski.

— Także między rzeszowskimi aktorami z Teatru im. Wandy Siemaszkowej a Estradą istniały jakieś więzi. Nie zawsze wynikały one ze świadomych współdziałań obu dyrekcji, ale przecież z teatru do was przybył Julian Krzywka, Wincenty Zawirski, aktor i poeta, już także nieżyjący, Jerzy Rudolf, no i ostatnio Stanisław Wieszczycki aktor i reżyser.

A. J.: — I chyba właśnie dlatego, że istniało w naszym ówczesnym zespole dobre współdziałanie aktorów, piosenkarzy, muzyków i scenografów, zespół zdobywał laury. Na pierwszym, drugim i trzecim ogólnopolskim festiwalu imprez estradowych w Olsztynie, zajmowaliśmy czołowe miejsca. Program „Julia, czyli delikatność uczuć" według tekstów Gałczyńskiego, zdobył I miejsce.

— I to zasługa Juliana Krzywki, który był reżyserem tego programu.

A. J.: — I wykonawców, a także Salomei Gawrońskiej, żony Krzywki, która zaprojektowała piękną scenografię do tego widowiska. Na drugim festiwalu nasz spektakl „Nie przysięgaj na księżyc" zbudowany z tekstów Szekspira, został wyróżniony II nagrodą.

— Oglądałem obydwa te widowiska tam na miejscu w Olsztynie, widziałem, że wywarły wielkie wrażenie na publiczności i jurorach. Prawie wszyscy byli tam wtedy przekonani, że te nagrody bez żadnych wątpliwości należały się zespołowi rzeszowskiemu. Były to spektakle bardzo widowiskowe, a równocześnie ambitne, poetyckie.

D. D.: — Krzywka i Gawrońska mieli koncepcję robienia nowoczesnych programów estradowych, a raczej teatru estradowego. I tę koncepcję udało im się zrealizować. Było to nowatorskie, gdyż wtedy w programach rozrywkowych obowiązywał kanon składanki. I ta składanka była nie najlepiej reżyserowana, był to zaledwie jakiś montaż reżyserski. Natomiast Julian Krzywka konstruując spektakl w pełni właściwie teatralny, z tekstów, które go interesowały zaskoczył wszystkich formą, a nie tylko wykonawstwem aktorskim, muzyką, czy scenografią. Ten drugi po „Julii" spektakl, czyli „Nie przysięgaj na księżyc" był kontynuacją pierwszego o większej jednak skali trudności w odbiorze. Jeśli zdobył tylko drugą nagrodę (a pierwszej wtedy w Olsztynie w ogóle nie przyznano) to dlatego, że już było inne jury, któremu ta ambitna formuła widowiska estradowego nie odpowiadała. Zaczęto skłaniać się ku rozrywce taniej, łatwej i przyjemnej.

A. J.: — Warto tu jeszcze przypomnieć program, który powstał wcześniej niż te nagrodzone, a został w Polsce wyraźnie dostrzeżony, mianowicie — „Świt nad Afryką". Nasz zespół występował z nim w prawie wszystkich warszawskich domach kultury. Był to spektakl o wyraźnym obliczu politycznym związany z ówczesnymi dramatycznymi wydarzeniami w Afryce.

— I o ile pamiętam reżyserował również już nieżyjący Jerzy Pieśniarowicz. Niestety, czas płynie nieubłaganie i wciąż w naszych wspomnieniach z dziejów Estrady pojawiają się wspaniali ludzie, których już nie ma.

A. J. — Tak, Jerzy był reżyserem „Świtu" a także tłumaczem wierszy poetów afrykańskich, które wykorzystał w programie. No i wreszcie, gdy wspominamy dobre, znane w Polsce spektakle trzeba wymienić „Wiwat XX wiek", zakupiony przez telewizję i transmitowany w programie pierwszym.

— Skończyły się jednak festiwale olsztyńskie i równocześnie ambicje Estrady w Polsce jakoś wygasły. Zaczęto nastawiać się na popularność spektakli, łatwiejszą komunikatywność, na szybsze ich tworzenie, bo to po prostu opłacało się finansowo. Nie warto było długo „produkować" programu, bo to ograniczało możliwości „eksploatacyjne" przedsiębiorstw estradowych. Używam tu sformułowań handlowych, ale tak zaczęto pojmować zadania Estrady. Nadeszły dość chude czasy — stwierdzono, że kultura musi sama na siebie zarabiać. Jak wiadomo, znów wróciły na scenę składanki, wędrowały po kraju zespoły muzyczne ze znanymi lub mniej znanymi piosenkarkami na okrasę, później przyszła moda na rocka, własne zespoły artystyczne estrad prawie zniknęły.

L. K.: — Istotnie trzeba było zarabiać szybciej, pewniej i łatwiej w późniejszych latach, bo dotacje dla przedsiębiorstw zaczęły się gwałtownie kurczyć. Gdy przyszłam do Estrady w 1963 roku, mieliśmy 1 200 tys. złotych rocznej dotacji. Później zmniejszała się ta kwota z roku na rok, i doszło do tego, że otrzymywaliśmy tylko nieznaczne dotacje na zakup sprzętu lub na jakieś specjalne programy, w wysokości mniej więcej 200 lub 170 tys. złotych. Bo trzeba powiedzieć, że na tym programie „Nie przysięgaj na księżyc" nie zarobiliśmy nic. W Warszawie, prawie z nakazu Ministerstwa Kultury i Sztuki kupiono 15 spektakli i później nigdzie już widowisko nie szło. Był to program zbyt elitarny, jak na ówczesne możliwości odbioru przez przeciętnych widzów. Takie programy wymagały więc wysokich dotacji. Gdy nam ją zaczęto zabierać, trzeba było tworzyć programy popularne dla szerokiej publiczności lub ratować się działalnością ajencyjną. Zresztą własny zespół artystyczny zanikł m. in. dlatego, że nie mieliśmy dla aktorów mieszkań. Nie mogliśmy nikogo angażować, bo nie stać nas było na opłacanie przez rok hotelu dla kilku osób.

A. J.: — Ale wyróżnialiśmy się tym wśród estrad w Polsce, że zawsze mieliśmy własny, etatowy zespół muzyczny. Dlatego łatwiej nam było stworzyć program w oparciu o ten zespół. Wystarczyło tylko zaprosić jakichś znanych solistów z kraju i szybko powstawał spektakl mniej lub bardziej wyreżyserowany.

— No powiedzmy szczerze raczej mniej. Bo nadszedł czas ogólnego upadku sztuki estradowej w kraju. Ambitne widowiska prawie zanikły, zaczęły się liczyć tylko nazwiska znanych solistów, i takie nazwiska na afiszach przyciągały widzów, a nie spektakle, bo do tego publiczność przyzwyczaiono. Obecnie Estrada zaczyna szukać sposobów na odrodzenie się sztuki estradowej i właśnie tu w Rzeszowie sporo się w tym kierunku czyni. Właśnie tu odbywają się ogólnopolskie spotkania estradowe, których zadaniem jest podnoszenie na wyższy poziom poczynań artystycznych w działalności rozrywkowej w kraju. Wiadomo też, że Estrada rzeszowska ustawicznie pracuje nad własnymi programami i nad własnym zespołem.

D. D.: — Myślę, że sztuka estradowa ma szanse istnienia wtedy, gdy jest sztuką w pełni teatralną. Rzuciliśmy więc hasło powrotu do korzeni, czyli do zespołu Krzywki i Gawrońskiej i próbujemy reaktywować model teatru rozrywki. Może uda nam się utworzyć w Polsce południowo-wschodniej teatr rozrywki z prawdziwego zdarzenia, to znaczy w oparciu o własną salę teatralną, i o własny zespół artystyczny. Tuż obok naszego budynku znajduje się hala, którą zajmuje PKS. Gdyby kiedyś przedsiębiorstwo to z niej się wyprowadziło moglibyśmy ją adaptować na salę widowiskową. Z kadrą dla zespołu jest trudniej, nie ma takiej instytucji, która szkoliłaby estradowców. Są to na ogół ludzie po średnich i wyższych szkołach muzycznych. W szkołach teatralnych, jak wiadomo, nie ma wydziałów estradowych. Przedsiębiorstwa estradowe czy instytucje artystyczne, muszą we własnym zakresie przygotowywać adeptów scen estradowych i pomagać im zdobywać kwalifikacje zawodowe. W naszych poczynaniach jesteśmy wierni wizji teatru rozrywki, bo i widowisko „Dziewczyna z deszczu" i drugie widowisko „Przyszła nam nowina" i trzecie „Brawo-bis", były spektaklami o takiej właśnie formule artystycznej. Wprawdzie nie mamy indywidualności wykonawczych, ale bronimy się całym zespołem i działaniem teatralnym.

— Może kilka słów o ogólnopolskich spotkaniach estradowych. Jak ocenia Pan ich rolę dla estrady w Polsce.

D. D.: — Spotkania estradowe odbędą się w roku przyszłym już po raz trzeci. Z roku na rok mają coraz więcej sympatyków spośród wykonawców. Świadczy to o tym, że sami wykonawcy, a nie tylko estrady, czują potrzebę konfrontacji swojego dorobku artystycznego ze sztuką innych artystów. Ostatnio np. wyrazili chęć wzięcia udziału w spotkaniach tak znani artyści, jak Halina Kunicka i Jerzy Ofierski. Nie ma rozwoju sztuki jeśli nie konfrontuje się jej ze sztuką. Kontakt z samą tylko publicznością daje niewiele. Spotkania cieszą się poparciem ministerstwa i naszych wojewódzkich władz. Ale zespół naszego przedsiębiorstwa wkłada w ich organizację olbrzymią pracę. Sam pomysł to nie wszystko, trzeba go jeszcze zrealizować, a czynimy to na tyle dobrze, że zyskaliśmy pełne zaufanie i swobodę działania ze strony ministerstwa.

— Wróćmy znów do przeszłości skoro rozmawiamy o jubileuszu Estrady. Kto prowadził od początku waszą placówkę artystycznym. Mówiliśmy bowiem o artystach, o programach, o trudnościach, a nie mówiliśmy o tych, którzy się z tymi problemami parali.

L. K.: — Pierwszym dyrektorem była Irena Król. Później na kilka lat objął dyrekcję i kierownictwo artystyczne Julian Krzywka. Po nim przyszedł Jerzy Kobryń (również już nie żyje). Następnie przez 7 lat kierował przedsiębiorstwem Jakub Ciastoń. Ludwik Matłosz, Bogdan Chorążuk, znów Ludwik Matłosz to czasy nowsze. Z tym, że Ludwik Matłosz był zastępcą dyrektora, a przez jakiś czas pełnił obowiązki p. o. dyrektora. Od trzech lat pracujemy z obecnym tu panem dyrektorem Dubielem, który jest również kierownikiem artystycznym placówki.

A. J.: — Mówiąc o przeszłości warto podkreślić, że nasza Estrada dzięki etatowemu zespołowi docierała do najdalszych zakątków dawnego, dużego województwa rzeszowskiego. Większość imprez odbywała się w małych miasteczkach i gminach, tam gdzie nigdy nie dotarł teatr czy filharmonia. Mieliśmy wtedy około 400 imprez rocznie. Wtedy byliśmy pionierami sztuki teatru dla wielu miejscowości, w których nikt nigdy nie zetknął się z żywym artystą, ze sztuką żywego planu. Ale wtedy mogliśmy sobie na to pozwolić, gdyż była to działalność z zaplanowanym deficytem, który później pokrywano dotacjami. Dzisiaj nie możemy już tak działać, gdyż koszty naszych imprez są wysokie i nie możemy organizować imprez w małych salach widowiskowych.

Jest także druga strona medalu. Dzięki naszej działalności mieszkańcy Rzeszowa i większych miast regionu mogli zobaczyć znakomitych artystów zagranicznych, jak Marino Marini, Helena Vondračkova, Karel Gott, Alla Pugaczowa, Żanna Biczewska, Weronika Fischer, słynne zespoły muzyczne NRD, Czechosłowacji, Bułgarii, Węgier, orkiestra Duka Ellingtona, zespół „Brazilliana" z Rio de Janeiro, nawet zespół z Cejlonu.

D. D.: — A nasze „Prezentacje"? — W cyklu imprez o tej nazwie pokazywaliśmy wybitne zjawiska teatralne o charakterze estradowym. Gościliśmy Akademię Ruchu Tomaszewskiego, „Replikę" Szajny, Polski Teatr Tańca Conrada Drzewieckiego, „Wielopole" Kantora.

— Od jubileuszu przejdźmy do teraźniejszości. Czego mogą oczekiwać widzowie w nowym sezonie artystycznym?

D. D.: — Planujemy zrealizować w naszym własnym zespole „Kolędę nockę" Brylla i Trzcińskiego, program dla dzieci, „Nowe tarapaty Sindbada" i musical „Puchowy śniegu tren". Jeśli te trzy spektakle zdołamy zrealizować, będzie dobrze.

Z programów z zewnątrz zaprezentujemy w przyszłym roku recital Maryli Rodowicz, z nowym programem wystąpi Irena Santor i Hanka Bielicka, a z dużych zespołów Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk". Młodzieży pokażemy m. in. zespół „Lombard" i „Gang Marcela".

— No i najbliższy, jubileuszowy koncert pt. „Srebrne wesele". Kto w nim wystąpi?

D. D: — Będą to artyści, którzy najwcześniej związali się z Estradą rzeszowską — mimo iż później z tego zespołu z różnych powodów odeszli zachowaliśmy o nich dobrą pamięć. Ponownie więc będziemy mogli zobaczyć Danutę Borowiecką, Igę Strzelecką, Janusza Karana, Zdzisława Kozienia, Aleksandra Małyka, Jerzego Statkiewicza i Ryszarda Wojciechowskiego.

A więc sami swoi. Dziękuję za rozmowę i życzę Estradzie nowych sukcesów, równych tym z dawnych lat, w następnym ćwierćwieczu.

SREBRNE WESELE

Anna Sawa

40-lecie Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów

Od „ZAKAZANYCH PIOSENEK" do „SEKSMISJI"

Do kina chodzi głównie młodzież. Mimo że maleje ilość miejsc z powodu wycofywania z eksploatacji budynków o złych warunkach technicznych, frekwencja w porównaniu do lat poprzednich wzrasta. Najwięcej publiczności bywa na filmach polskich. „Seksmisję" obejrzało w tym roku 3,2 mln osób, a „Akademię Pana Kleksa" — 8,5 mln.

* * *

Pierwszym po wojnie wyprodukowanym filmem były „Zakazane piosenki" w reżyserii Leonarda Buczkowskiego, które weszły na ekrany 8 stycznia 1947 r. Dziś, po 40 latach rozpowszechniania, znają je również obecne 20-latki, a nie tylko ci, którzy byli bezpośrednimi świadkami odradzania się polskiej kinematografii ze zniszczeń wojennych. W Rzeszowie uruchomiono kino „Apollo", jedno z trzech działających w mieście przed wojną już w kilkanaście dni po wyzwoleniu — 14 sierpnia 1944 r. Wyświetlano wtedy komedię „Robert i Bertrand" z Grossówną, Dymszą i Bodo w rolach głównych. Wcześniej uzupełniono częściowo zniszczony sprzęt. Brakujące elementy dorabiali pierwsi pracownicy kina: Władysław Brataniec, Antoni Dyląg i Jan Kyc. Stopniowo projekcje rozpoczynano w następnych kinach — pod koniec 1944 roku czynnych było w województwie rzeszowskim 11 kin, a w rok później — 16. Zarządzało nimi Przedsiębiorstwo Państwowe „Film Polski" — Instytut Filmowy, Oddział Rzeszów, po kilku reorganizacjach od 1976 r. funkcjonujące pod obecną nazwą Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów. Repertuar ówczesny był bardzo skromny. Stanowiły go dokumentalne zapisy czasów wojny. W „Dzienniku Rzeszowskim" w dniu 27 czerwca 1945 r. zanotowano: „Kino „Apollo" wyświetla obecnie kronikę Wojska Polskiego. Zdjęć dokonali Adolf i Władysław Forbert po wkroczeniu do Warszawy, a raczej do ruin i dymiących jeszcze zgliszczy. Następne zdjęcia pochodzą z Łodzi, gdzie Niemcy podpalili budynek, a w nim 1000 zamkniętych Polaków".

* * *

Zmiany w repertuarze, jakie zaszły w czasie tych lat, każdy z nas może ocenić. Polski film wracał na ekrany powoli, prezentując w swej specyficznej formie najważniejsze momenty w życiu społeczeństwa, dostarczając rozrywki i skłaniając do refleksji. Ludzie zaangażowani w rozwój kinematografii musieli pokonać wszystkie bariery materialne. Należało odbudować zniszczone wytwórnie filmowe, atelier i laboratoria, uruchomić nowe kina. Pierwsze aparaty projekcyjne polskiej produkcji powstały w 1947 roku. Wyposażono w nie również kina w województwie rzeszowskim, których w 1950 roku było 53, a w 1962 — 167, w tym 49 miejskich, 72 wiejskich stałych, 26 wiejskich półstałych i 20 objazdowych. Niejednokrotnie kina powstawały w salach niezupełnie do wyświetlania filmów dostosowanych, ale obszernych, gdzie na ławach mogło zmieścić się kilkadziesiąt osób. W tamtych latach uruchomiono nowoczesne kina „Ballada" w Stalowej Woli i „Zorza" w Rzeszowie. Wybudowana w 1956 roku „Zorza" do dziś spełnia rolę pierwszego kina w regionie. Szeroki ekran i dobra akustyka umożliwia projekcję wszystkich obecnie rozpowszechnianych w kraju filmów. Powiększył się wówczas także stan posiadania rzeszowskiej Centrali Rozpowszechniania Filmów o budynki techniczne i biurowe. Rezultatem tych wszystkich przedsięwzięć była rekordowa — jak dotychczas — liczba widzów w 1962 roku — 6 492 547 osób w kinach województwa.

* * *

Za rok ubiegły statystyki podają ilość publiczności mniejszą o 1 mln 200 tysięcy. Mniej jest także kin — 49 w miastach regionu, 48 na wsi i 17 objazdowych. Niektóre z budynków zniknęły bezpowrotnie. Zburzono m. in. znajdujący się niegdyś przy ul. Pstrowskiego „Przodownik" — kino małe, z duszną salą, ale i z tanimi biletami. Zamykano kina z powodu niespełniania wymogów coraz nowocześniejszej techniki oraz wygody czy nawet bezpieczeństwa widzów.

Niedostatek ilości budynków kinowych na wsi uzupełniają kina objazdowe. Docierają niemal wszędzie, wyświetlając filmy przeznaczone głównie dla młodzieży szkolnej. W czasie wakacji, w ramach akcji „Lato z filmem", operatorzy kin ruchomych pracują na koloniach i innych zgrupowaniach.

Proces modernizacji i remontów trwa nadal. Hamowany niejednokrotnie przez brak środków i specjalistycznych wykonawców oraz długi, kilkuletni cykl przebudowy dał już jednak efekty w postaci 36 unowocześnionych kin miejskich i 11 wiejskich. Dyrektor Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Rzeszowie Józef Hałys mówi, że sieć kinowa w regionie nie jest wystarczająca. Mamy wprawdzie 14 kin najwyższej „0" kategorii, ale brakuje sal projekcyjnych na wsi. Niedobrze wyglądają kina w Bieszczadach — są stare i małe. Trzeba zmodernizować sale w Lesku i Ustrzykach, wybudować nowe w Sanoku, Solinie i Polańczyku. Ostatnio nowe kina znajdują miejsce w wiejskich domach kultury, jak np. w Albigowej, Nowej Debie, czy oddane w tym roku w Annopolu. Niewielkie kina powinny powstać w nowych, dużych dzielnicach miast. Przydałyby się na pewno w Rzeszowie na Baranówce, Nowym Mieście i na Osiedlu Gwardzistów.

Zaczyna brakować pracowników zniechęconych niewygodnym czasem pracy i niewysokimi płacami. Coraz mniej jest zapaleńców całe życie poświęcających „magicznej latarni" jak np. Zbigniew Zając, od 1 października 1944 do dziś, operator kina „Roma" w Przemyślu, Stanisław Miliński, Bolesław Kuźma, Józef Lekacz, Jan Rybak, Stefania Sopalska i wielu innych jeszcze. To m. in. oni wyświetlili 5 138 filmów z 52 krajów świata dla prawie 193 mln widzów, a w tym najbardziej kasowe filmy 40-lecia, czyli „Krzyżacy", „W pustyni i w puszczy", „Potop", „Winnetou", „Noce i dnie", „Zakazane piosenki", „Cichy Don", „Pan Wołodyjowski", „Fanfan Tulipan" oraz „Wojna i pokój".

* * *

Na co dzisiaj chodzimy do kina? W tym roku najwięcej osób obejrzało film pt. „Poszukiwacze zaginionej arki". W „Zorzy" na 181 seansach było 76 705 tys. widzów, a na „Seksmisji" nieco powyżej 70 tys. Młodzież poszukuje przede wszystkim filmów rozrywkowych, dostarczających doznań emocjonalnych. Dlatego wielkim przebojem kasowym było niedawne „Wejście smoka", a dziś nastolatki oglądają mocne sceny w amerykańskim filmie „Więzień Brubaker".

KRONIKA KULTURALNA ● KRONIKA KULTURALNA

Inauguracyjny koncert nowego sezonu artystycznego

W dniu 21 bm. odbył się w rzeszowskiej Filharmonii pierwszy w tym sezonie koncert symfoniczny. Rzeszowscy melomani przybyli dość licznie nie tylko po to, by wysłuchać wybitnych dzieł muzycznych, ale także, by powitać nowego kierownika artystycznego i dyrygenta Filharmonii **Józefa Radwana**, który od tego sezonu będzie decydował o artystycznym obliczu placówki. Józef Radwan, laureat I Ogólnopolskiego Konkursu Młodych Dyrygentów w Katowicach, pełni także obowiązki II dyrygenta Filharmonii krakowskiej i jest pracownikiem dydaktycznym Akademii Muzycznej w Krakowie. On właśnie dyrygował inauguracyjnym koncertem.

Orkiestra symfoniczna rzeszowskiej Filharmonii wykonała pod jego batutą Uwerturę do opery „Halka" Stanisława Moniuszki, Koncert skrzypcowy A-dur op. 8 Mieczysława Karłowicza i IX Symfonię e-moll „Z nowego świata" Antonina Dworzaka. Jako solista w Koncercie skrzypcowym wystąpił znakomity wirtuoz, jeden z czołowych polskich skrzypków **Krzysztof Jakowicz**, laureat wielu nagród w krajowych i międzynarodowych konkursach skrzypcowych. Brawurowe wykonanie bardzo trudnego, wirtuozowskiego Koncertu Karłowicza zjednało mu gorące uznanie publiczności. Dobrze również spisała się orkiestra symfoniczna Filharmonii. Bardzo czysto wykonała Uwerturę do Halki, a szczególnie zjednała sobie słuchaczy Symfonią „Z nowego świata" Dworzaka. To największe dzieło symfoniczne czeskiego kompozytora i jeden z najwybitniejszych utworów muzyki światowej zagrała z dużą precyzją i wrażliwością odtwarzając bogactwo melodyczne tego dzieła. Szczególnie dobrze brzmiały instrumenty dęte. Długotrwałe oklaski, wiele wiązanek kwiatów świadczyły o wysokiej ocenie koncertu przez publiczność i o życzliwym powitaniu nowego dyrygenta kierownika artystycznego Filharmonii rzeszowskiej.

J.G.

Retrospektorium

W ramach „Dni WSK PZL Rzeszów" w Zakładowym Domu Kultury wystąpiła „Meluzyna". Ten zasłużony dla środowiska robotniczego regionu kabaret przedstawił program złożony z najcelniejszych i najlepszych utworów przekazywanych przez 23 lata z ZDK-owskiej sceny. Program opatrzono znamiennym tytułem: „Retrospektorium, czyli co nam zostało z tych wad". Wzięto teksty z programów takich jak: „Mędrzyki słowiańskie", „Napoleony", „Zbrodnia to niesłychana". Miały one swego czasu bardzo różne recenzje, jednakże pojedyncze teksty, te szczególnie celne, ostały się i mogą nadal satysfakcjonować odbiorców meluzynowych programów i szopek.

A więc? Co nam zostało z tych wad, z których wyśmiewała się i wytykała palcami „Meluzyna" przed 20 z górą laty? Niestety wszystkie... A więc wspomniany program oparty na starych tekstach dotyczy wciąż spraw aktualnych, żywotnych. O jakich wadach mowa? Nietrudno się domyśleć. Dotyczą one stylu pracy, sposobu bycia, życia i picia. I to ponad miarę... „Retrospektorium" bawiło słuchaczy, ale był to śmiech gorzki, pobudzający do refleksji.

Wiele zauważalnych i pozytywnych zmian nastąpiło w samym kabarecie. Nigdy chyba jego poziom artystyczny nie był tak wysoki jak obecnie. Tworzy go kilka osób, wcale nieźle śpiewających i poruszających się na scenie; nie ma już tej nadmiernej dyletanckiej ekspresji uzyskiwanej przez wykrzykiwanie i przesyt gestykulacji. Wchodzący w skład „Meluzyny" amatorzy: **Grażyna Kulupa, Ryszarda i Grażyna Cymbalista, Damian Szubert, Andrzej Jakubiec, Roman Konieczkowski mogą gwarantować** dalszy rozwój artystyczny kabaretu, widocznie zbliżającego się do zawodostwa. Nie sposób nie wspomnieć o filarze „Meluzyny" **Andrzeju Listwanie, który** nieprzerwanie od 23 lat pisze teksty, muzykę i akompaniuje zespołowi. Jak on widzi przyszłość „Meluzyny"? — „Z pewnością będzie się nadal rozwijać, robić nowe programy i występować nie tylko przed rzeszowską publicznością".

M. TEODORCZYK

NA EKRANACH

WIĘZIEŃ BRUBAKER

Szczególnie obfite w filmy poświęcone problematyce penitencjarnej w Stanach Zjednoczonych było ostatnie dziesięciolecie. W okresie tym powstało wiele ważnych utworów, między innymi „Papillon" Franklina J. Schafnera i „Ucieczka z Alcatraz" Dona Siegiela, która jest obecnie wyświetlana w naszych kinach, nie mówiąc o dziesiątkach filmów telewizyjnych. Ważną pozycję w tym nurcie zajmuje film STUARTA ROSENBERGA „Więzień Brubaker". Popularność temu reżyserowi przyniósł film „Cool Hand Luke (z Paulem Newmanem i Georgem Kennedym („Oscar" za rolę). Tytułowy Luke „Zimna Rączka" trafia za drobne przewinienie do zakładu karnego, gdzie na własnym przykładzie udowadnia antyhumanitarną działalność amerykańskich więzień. Wracając ponownie do tej tematyki twórca posłużył się dokumentem — autobiograficzną książką Thomasa O. Murtona i Joego Hyamsa, w której Murton, były wykładowca kryminalistyki, zawarł swe gorzkie doświadczenia z okresu, kiedy pracował jako nadzorca więzienia Cummins (1967—1968). Zostały w niej opisane wszystkie zjawiska, jakie następnie znalazły się w filmie — nadużywanie stanowisk dla korzyści materialnych, samowolne przedłużanie pobytu w zakładzie karnym, brak opieki lekarskiej dla skazanych, gwałt i przemoc. Temu wszystkiemu usiłuje się przeciwstawić nowy naczelnik i... niczego nie osiąga, bowiem korupcja sięga dalej, niż można było przypuszczać — zyski z zakładu karnego ciągną nie tylko okoliczni farmerzy i drobni przedsiębiorcy, ale nawet prominentni politycy i członkowie rady ds. reformy więziennictwa. Akcja filmu „Więzień Brubaker" toczy się w Wakefield, najlepiej strzeżonym więzieniu na południu Stanów Zjednoczonych.

Mimo zmiany nazwisk i pewnych okoliczności, książka Murtona nosi wszelkie znamiona autentyku. Na jej podstawie scenarzysta W. D. Richter przygotował materiał na dramat dokumentalny. Idąc tym śladem producenci wynajęli autentyczne, nieczynne już, więzienie w Ohio, gdzie zgromadzili ponad tysiąc statystów, w większości ludzi z kryminalną przeszłością. Główną rolę powierzono jednemu z najznakomitszych współczesnych aktorów — Robertowi Redfordowi, który niejednokrotnie już angażował swój autorytet w sprawy o dużym znaczeniu społecznym. Jego kreację w „Więźniu Brubakerze" należy postawić obok występów w filmach „Kandydat" i „Wszyscy ludzie prezydenta".

W filmie wystąpili: **Robert Redford, Yaphet Kotto, Jane Alesander, Murray Hamilton, Dawid Keith, Morgan Freeman** i inni.

JŁ.

O „DZIEWIĄTEJ DREZDEŃSKIEJ" — raz jeszcze

Z uczuciem zażenowania przyjąłem list skierowany pod moim adresem przez autora „Historia 9 Drezdeńskiej Dywizji Piechoty" Mariana Dołomisiewicza, który to został opublikowany w nr. 37 „Widnokręgu". Ocenę książki Edmunda Ginalskiego i Eugeniusza Wysockiskiego pt. „Dziewiąta Drezdeńska", przedstawiłem w nr. 36 tygodnika i dziś nie mam zamiaru jej ponownie powtarzać, jednakże liczne sugestie autora listu wydają mi się w sporej części nieuzasadnione. Do niektórych zobligowany zostałem ustosunkować się.

I tak: autor listu m. in. sugeruje, że: „Wydana w 1970 r. „Historia 9 Drezdeńskiej Dywizji Piechoty" w opracowaniu Mariana Dołomisiewicza nie ujmowała całokształtu jej przeszłości, lecz koncentrowała się głównie wokół jej pułków", co szczególnie podkreśla. A przecież Edmund Ginalski, jako były dowódca tej dywizji i Eugeniusz Wysokiński, były jej oficer, we wstępie swojego opracowania na str. 6 stwierdzają wręcz: „Opracowując dzieje 9 DP autorzy wykorzystali wszystkie dostępne źródła archiwalne oraz publikacje. Zwrócili się też do byłych żołnierzy dywizji o nadesłanie relacji i dostarczenie zachowanych dokumentów. Istotne ułatwienie w pracy autorów stanowiły wydane drukiem historie trzech pułków piechoty i pułku artylerii 9 DP. Jakkolwiek nie wszystkie zagadnienia zostały w nich omówione, to jednak autorzy niniejszego opracowania mieli już częściowo ułatwione zadanie w odtworzeniu dziejów dywizji jako całości. Jedyna dotychczas próba całościowego ujęcia dziejów dywizji jest książka Mariana Dołomisiewicza. Autor jednak opisał w niej głównie działania trzech pułków piechoty, wykorzystując wcześniej wydrukowane historie tych pułków".

W dalszej części listu autor podaje w wyraźną wątpliwość, że jego opracowanie ukazało się społecznym sumptem i w niskim nakładzie 600 egz. I taka jest rzeczywistość. Przecież na jej pierwszej stronie czytamy: „Szczególnie serdeczną myśl podzięki skieruj Szanowny Czytelniku ku załodze Rzeszowskich Zakładów Graficznych, która (...) pełna ideowego zrozumienia i szczerego zapału, nie żałowała osobistego wolnego czasu i czynem społecznym sprawiła, że oto masz przed sobą „Historię 9 Drezdeńskiej Dywizji Piechoty". Powołuje się autor na „Wojskowy Przegląd Historyczny" nr 1—2 z 1975 r., str. 375. Cytuje ten fragment „Historiografii wojny wyzwoleńczej narodu polskiego w latach 1939—1945". — „Stosunkowo nieliczne są monografie dywizji. Ukazały się jedynie monografie trzech dywizji 2 armii WP: Stanisława Gacira o 7 DP, Stanisława Rzepskiego o 8 DP i Mariana Dołomisiewicza o 9 DP. Prace różnią się wyraźnie formą ujęcia tematu oraz sposobem wykorzystania bazy źródłowej. Przedstawiają one dzieje poszczególnych dywizji od chwili ich zorganizowania jesienią 1944 r., przez walki nad Nysą, Szprewą i w Sudetach w kwietniu i maju 1945 r. w składzie 2 armii WP, służbę graniczną na zachodnich i południowych rubieżach naszego kraju aż do zakończenia walk ze zbrojnym podziemiem w 1948 r." — W odnośniku 215: 9 Dywizja Piechoty, Rzeszów 1970.

Bardziej trafniejsza charakterystyka biograficzna pozycji M. Dołomisiewicza zamieszczona jest w nr. 2 „Wojskowego Przeglądu Historycznego" z 1973 r. W zapiskach biograficznych na str. 360 czytam: „Książka powstała w czynie społecznym z inicjatywy żołnierzy związku taktycznego.

W recenzji stwierdziłem, że treść obecnej monografii jest pierwszą poświęconą tej dywizji. Miałem tu na uwadze obecne, ogólnie dostępne wydanie, gdyż poprzednie było przecież w wydaniu wewnętrznym, do własnego użytku, o czym jej autor wie przecież doskonale. Treść monografii — napisałem — w pełni odzwierciedla podtytuł..." — gdyż tak brzmi jak zacytowałem: „Z dziejów 9 Drezdeńskiej Dywizji Piechoty 1944—1947".

Na zakończenie jeszcze muszę podtrzymać zdanie Mariana Dołomisiewicza, że i obecne wydanie zawiera luki w listach rannych czy też obsadzie personalnej stanowisk. Jednakże na str. 413 autorzy zastrzegli, że ze względu na niedokładności w różnych dokumentach, możliwe są pomyłki w brzmieniu nazwisk lub imion, jak również w danych co do daty lub miejsca zgonu. W przypadkach sprzecznych przyjęte zostały brzmienia najbardziej prawdopodobne lub pokrywające się z danymi ksiąg ewidencyjnych, a także wśród zaginionych niewątpliwie znajdują się nazwiska i takich żołnierzy, którzy jako ranni trafili do niewoli, a po uwolnieniu z niej byli leczeni w różnych szpitalach i do jednostki swej nie wrócili. Większość z nich to jednak ci, których hitlerowcy zamordowali w Gutten, Grossröhrsdorf lub Horce, ewentualnie w okrążeniu dywizji pod Kuckau.

ZDZISŁAW DOMINO

Balanse i NIUANSE

BOHEMA = CYGANERIA

Tak to tłumaczy słownik wyrazów obcych, wyjaśniając, iż jest to: „luźne ugrupowanie artystów, prowadzących życie nieregularne, indywidualistyczne, niekiedy ekscentryczne, wyrażające protest przeciwko konwenansom, normom społecznym, obowiązującym poglądom estetycznym".

Otwierając przed kilkoma laty w podziemiach Wojewódzkiego Domu Kultury klub „organ założycielski" nadał mu nazwę „Bohema". Miała ta nazwa być hasłem wywoławczym, gromadzącym środowiska artystyczne i twórcze, które przecież narzekały, że nie posiadają lokalu, nie będącego ani salą konferencyjną, ani knajpą, lecz właśnie klubem, gdzie można zjeść, wypić co nieco, podyskutować, organizować różne imprezy.

Klub otwarto i czekano na propozycje. Były różne, ale żadne środowisko nie zdobyło się na jakieś własne przedsięwzięcie. Jedynie KRIT spotykał się tutaj z osobistościami ze świata polityki, kultury, dyskutował o problemach miasta i regionu. Były także imprezy importowane: artyści estradowi, występy „Meluzyny", były dancingi i dyskoteki. Nie miało to nic wspólnego z miejscowymi środowiskami twórczymi i artystycznymi, które zaczynały przeżywać swoje dramaty i nie w głowie im było zajmować się działalnością klubową. Cyganeria? Protesty przeciwko konwenansom? Przeciwko obowiązującym poglądom estetycznym? Może się to jakoś wyrażało, ale nie poprzez poczynania, które mogłyby ożywić klub. Przychodziło się tutaj, owszem, ale jak do swojskiej knajpy. Przeszkadzało się często występującym... i sobie nawzajem.

Za kilka dni ma nastąpić ponowne otwarcie „Bohemy", nieczynnej przez pół roku. I znowu, jak przed laty, „organ założycielski" liczy na pomysły, inwencję. Ma być to przecież miejsce, w którym kipieć powinno od konkurencyjnych imprez różnych środowisk. Miejscowych środowisk. Czy jednak do jakiegoś kipienia dojdzie?

Gdzież są ludzie mieszczący się w pojęciach „cyganerii"? Nie chodzi już nawet o pojęcia dawne, związane choćby z krakowską „Jamą Michalikową". Niech by to było coś innego, na miarę dzisiejszych czasów, ale coś, co żyje, pulsuje, coś, o czym się mówi.

Nie widać jakoś chętnych. Wszyscy układni, ugrzecznieni, dostojni, dbający o swoje tytuły, nazwy stanowisk, „opinię". Próbuje ktoś skrzyknąć parę osób do wymyślenia czegoś interesującego, natyka się na odpowiedzi mętne, wykrętne. Ten nie ma czasu, tamtemu to nie leży, ów owszem, mógłby, gdyby, ale może kiedyś.

Dostojne miasto, które nie chce się śmiać, nie chce placówki różniącej się od „normalnej" gastronomii? Obawiające się, iż jego wielkości, zdobytej pozycji, zaszkodzi „cyganeria"? Na to wychodzi.

— Kto ci się przed chwilą kłaniał?

— Taki jeden. Drzemiemy na tych samych naradach.

Anegdotka jak ulał do naszej powagi, do naszego noszenia się, kroczenia. Udzielamy się na naradach, z których co najmniej połowa jest niepotrzebna, pijemy gdzieś wódkę. Nie potrafimy spotykać się na wesoło, nie umiemy bez patosu, bez otoczki rozmawiać, cieszyć się życiem.

„Nie ma u nas takiej tradycji" słyszy się jakże często na jakąś nową propozycję. Mało kto wpada na myśl, że każda tradycja musi mieć swój pierwszy raz. I chcielibyśmy i boimy się. Wolimy czekać, co nam ktoś przywiezie, co ktoś za nas i dla nas zrobi. Możemy się wtedy krzywić, wybrzydzać, robić miny, wyrażające, że zrobilibyśmy to lepiej.

„Bohema", jak słyszałem, chce swój nowy sezon nasycić rozmaitymi nowymi ofertami. Łaskawie się na nie zgodzimy, a potem będziemy wzgardliwie wzruszać ramionami.

Nie zgłaszam tych pretensji wobec poszczególnych środowisk twórczych i artystycznych. Broń Boże! Zgłaszam je wobec wszystkich środowisk twórczych i artystycznych.

PASSUS

Listy do przyjaciela

Zarzut mi czynisz, że Cię zaniedbuję, ale — po pierwsze: złe moce zadziałały i jeden list przepadł, napisany, a po drugie: czy może dziwić dziś nieregularność dostawy słowa pisanego, gdy wysłane przez przyjazną mi duszę ciepłe pozdrowienia spod Giewontu od lipca do września pokonywały drogę między Zakopanem a Rzeszowem?

Spóźniają się listy, spóźniają się pociągi, spóźniają się ludzie — i co gorsze, nikt nie czuje się winien, nikt nie jest zażenowany nawet. Nawet kiedy człowiek zaśpi, czy zagada się, czy zlekceważy umówioną porę — wykrętem posiłkowym jest kryzys. Jeśli nie ekonomiczny, to kryzys wartości. Każdemu szaławile dobrze mieć w zanadrzu słowo — wytrych...

A tak już o czym innym: idzie jesień, jedyna, bardzo się śpieszą. Rankiem szaro, drzewa zaczynają umierać, stojąc.

A my zaczniemy obchodzić czterdziestolecia. Wielki serial jubileuszy rozpoczęty. Między nimi jubileusz Teatru im. Wandy Siemaszkowej.

Jak mogło być wtedy, w tamtym Rzeszowie?

Kto widział tamto pierwsze „Wesele", a raczej jego fragmenty, w którym debiutował Dejmek i Hanuszkiewicz, przelotem zaczepieni o ów Teatr Narodowy, pierwszy jaki powstał na skrawku wolnej Polski?

Kto płakał wówczas w tej scenie, rozgrywającej się między Panną Młodą a Poetą, gdy padło porównanie o pukającym sercu „pod zaszewką gorseta zeszytą przyciaśnie", że to Polska właśnie tak puka?

Kto wracał potem w jesienny wieczór, gdy drzewa też umierały, stojąc, przez Rzeszów ciemny, nie oświetlony, a potem kładł się w zimnym pokoju do zimnej pościeli, rozgrzany do białości lawiną słów o Polsce, o wolności, o czymie?

Zadzwoniła mi pewna pani na mój apel o kontakt z tymi, którzy widzieli „Wesele" i później nieco tę „Balladynę", gdzie Matkę kreowała Wanda Siemaszkowa, i mówiła, że jako sześcioletnie wówczas dziecko zapamiętała dwa wydarzenia: pierwsze, gdy uciekały z matką przed szalejącym frontem przez Wisłok do dziadka, mieszkającego za rzeką i po Wisłoku płynęły ławice rozstrzelanych ryb oraz drugie — gdy waliły pioruny w sztucznym lesie, otaczającym zamek Kirkora i Siemaszkowa z rozwianym włosem słaniała się pośród drzew, z rozpostartymi ramionami, zdążając na scenę sądu wyrodnej córki.

Różnie te dni pierwsze przechowała ludzka pamięć, Przyjacielu, ale zawsze w podtekście czai się wzruszenie.

Kilkunastoletni uczeń słynnego polonisty rzeszowskiego, profesora Szewera, pisał o „Balladynie" wraz z kolegami klasówkę, z której dostał bardzo dobrze. U profesora Szewera niełatwo było dostać stopień najwyższy; więc ów uczeń, dziś poważny lekarz, pamięta Siemaszkową najpierw jako sprawczynię swego szkolnego sukcesu. Ciekawam, czy II liceum przechowuje te zeszyty klasowe, choć pewnie to niemożliwe, bo przez czterdzieści lat urosłyby w kopiec Kościuszki makulatury, a z drugiej strony, jakim byłyby kapitalnym dokumentem dzisiaj!

Powspominamy zapewne na oficjalnej uroczystości jubileuszu Teatru im. Wandy Siemaszkowej zatrzymane w kadrze pamięci fakty i ludzi. Ale czy w atmosferze odświętnej gali będzie można mówić aż tak osobiście, jak to zrobiła dwójka moich telefonicznych informatorów; o zamordowanych rybach i piątce z polskiego?

Myślę, Przyjacielu, że i Ty zachowałeś swoje własne wspomnienia o owym roku czterdziestym czwartym, o zimnej jesieni, o pierwszym powojennym „Weselu", o pierwszym spotkaniu z Siemaszkową — napisz mi przeto, jak było. Może list się nie spóźni ze słowami wzruszeń pierwszych, które są na wagę złota i które nadają dopiero sens wszelkim jubileuszom. Bez nich bowiem często jest tak jak w wierszyku Boya:

Bierze się do tego celu
Tęgiego, starego pryka,
Sadza się go na fotelu
I siarczyście go się tyka.

Naturalnie cytuję z pamięci, więc może niedokładnie. Ale w końcu tu nie o dokładność idzie, tylko o sens pojęcia jubilat.

Co i napisawszy, rozgrzana temperaturą ludzkich wspomnień, jakby wytracać zaczynam w sobie smutek jesiennego poranka...

KRYSTYNA

KRONIKA KULTURALNA

Interesujące propozycje jasielskiego MDK

Młodzieżowy Dom Kultury w Jaśle jest najmłodszą placówką kulturalną w tym mieście. Służy najmłodszym mieszkańcom — młodzieży szkół podstawowych i średnich. Z myślą o nich właśnie przygotował się szczególnie starannie do nowego roku kulturalno-oświatowego.

Na jasielskich uczniów oczekują instruktorzy ponad dwudziestu kół zainteresowań. Możliwość rozwijania swego talentu i upodobań będą mieli miłośnicy plastyki, teatru, filmu, muzyki i tańca oraz filateliści, szachiści, kandydaci na dziennikarzy — korespondentów „Świata Młodych". Nie zapomniano również o tych, którzy chcą się uczyć języków obcych, uprawiać modelarstwo samochodowe i lotnicze lub tenis stołowy i piłkę ręczną.

Oczekując na chętnych do pracy w wymienionych kołach zainteresowań Młodzieżowy Dom Kultury przygotowuje się już do „Święta latawca". Imprezy, w której mogą wziąć udział wszystkie dzieci pod warunkiem, że wykonają latawiec i zaprezentują go na zawodach. Na zwycięzców zawodów oczekują cenne nagrody.

Ciekawie zapowiada się również konkurs plastyczny ogłoszony przez MDK z okazji 40-lecia PRL i 40 rocznicy wyzwolenia Jasła. Tematem konkursu jest Jasło — miasto zburzone nienawiścią, odbudowane pracą. Jego uczestnicy mogą składać prace do 31 grudnia br. Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród nastąpi w styczniu 1985 r.

B. B.

Przegląd Amatorskich Zespołów MSW

Niedawno powrócili z Kielc członkowie Zespołu Instrumentalno-Wokalnego, który powstał na bazie kwintetu rzeszowskiego ZOMO pod kierownictwem artystycznym sierż. sztab. **Bolesława Różewicza.** Wzięli oni tam udział w II Przeglądzie Amatorskich Zespołów Artystycznych MSW, gdzie zaprezentowali program pod hasłem „By spokój był udziałem wszystkich", który wypełniły starannie dobrane teksty i piosenki m. in. o tematyce patriotycznej i żołnierskiej.

W koncercie finałowym, do którego zakwalifikowało się 10 zespołów nasi amatorzy zdobyli wyróżnienie Dyrektora Zarządu Polityczno-Wychowawczego MSW.

Warto też dodać, że zespół w najbliższym czasie zamierza zaprezentować się także przed rzeszowską publicznością. M. in. planuje się występy w Państwowym Domu Dziecka w Słocinie, w Gminnym Ośrodku Kultury w Zaczerniu, w Szkołach Patronackich, a także na imprezach organizowanych z okazji 40-lecia MO i SB.

wiadomości samowolne

TO NAM SIĘ PODOBA

Bardzo nam się podobało zdanie z wystąpienia ministra rolnictwa i gospodarki żywnościowej podczas dożynek w Radziejowie: „Tegoroczne żniwa to wydłużony krok w kierunku samowystarczalności żywnościowej kraju, w drodze do chleba, który z ojczystej ziemi smakuje najlepiej".

Pięknie powiedziane.

PAP WIE LEPIEJ

Okazuje się, że na pewne wydarzenia i fakty trzeba patrzeć z dystansem. Uczynił tak reporter PAP, który wysłał w Polskę notatkę o jubileuszu „Nowin". Ogłosił wszem i wobec, że gazeta jest organem KW PZPR, a także poprawił Radę Państwa, odznaczając dwóch naszych kolegów Krzyżem Komandorskim. Zdziwili się, czytając tę notatkę w „Trybunie Ludu", gdyż podczas uroczystości udekorowano ich Krzyżami Oficerskimi.

Może scedować nadawanie odznaczeń na PAP? Byłaby szansa otrzymywać ordery wyższej rangi.

Istnieje też przypuszczenie, że przedstawiciele PAP obecni na jubileuszowym spotkaniu byli zbyt przejęci powagą chwili, aby móc rozróżnić, co jest co.

ZACHWYT

W tym samym numerze „Trybuny Ludu" przeczytaliśmy z przejęciem reportaż pt. „W Zinnowitz na wyspie Uznam". Dowiedzieliśmy się, iż „Zinnowitz jest jednym z największych w NRD centrów przyjaźni z Polską. W Zinnowitz mieszka stale 4,5 tys osób. 830 dzieci chodzi do miejscowej szkoły... A szkoła nosi imię... polskiego generała Karola Świerczewskiego i dosłownie aż promieniuje sylwetką swego patrona i zainteresowaniem jego ojczyzną. To się udziela także okolicy, dociera nawet do powiatowego Wolgast".

Doceniamy intencje autora, ale wydaje nam się, że poniosła go wena twórcza. Jedno z największych centrów przyjaźni z Polską, liczące 4,5 tys. mieszkańców! Szkoła, która dosłownie promieniuje sylwetką swego patrona! I to oddziaływanie: aż do miasta powiatowego!

Mówi się, że piekło wybrukowane jest dobrymi chęciami. Kto wie.

REKLAMA JEST DŹWIGNIĄ

Ogłoszenie z „Życia Warszawy": „Jestem dobrze usposobiony, dbający o swą sławę w moim rzemiośle rymarskim w szczególności pasków zegarkowych wykonywanych ze skór tropikalnych węży, jaszczurek — modne fasony najładniejsze na świecie. Zapraszam, przychodźcie kupujcie i się radujcie".

Nie mamy pieniędzy na takie paski zegarkowe, ale już jak ogłoszenie przeczytaliśmy, to się uradowaliśmy.

CIENKA ALUZJA

W sobotnio-niedzielnym wydaniu „Nowin" pomieszczono „Myśli" Jeana Cocteau. Bardziej jednak niż te myśli zaintrygował nas odnośnik na końcu. Brzmiał on: „Francuski pisarz, reżyser filmowy i malarz 1889—1963. Dawniej kobiety żywiły piersiami niemowlęta, dziś — producentów filmowych".

Rozumiemy, że jest to bardzo cienka aluzja do czegoś, ale boimy się wprost ujawnić, co nam przychodzi na myśl.

UROK USTRONNYCH MIEJSC

W tym też numerze pośród anegdot jedna o kompozytorze Maksie Regerze, który wysyłał do nieżyczliwych krytyków pocztówki o treści: **„W tej chwili siedzę w najdyskretniejszym zakątku mego mieszkania i mam pańską recenzję przed sobą. Za chwilę będę ją miał za sobą".**

Zastanawialiśmy się, skąd my to znamy. I oto w książce Horacego Safrina pt. „Przy szabasowych świecach. Wieczór drugi" przeczytaliśmy, że Bruno Jasieński (autor m. in. powieści „Palę Paryż", poematu „Słowo o Jakubie Szeli", dramatu „Bal manekinów"), po ukazaniu się kolejnej jadowitej recenzji w „Kurierze Lwowskim", napisał do krytyka: **„Wielce Szanowny Panie Kolego! Siedzę właśnie w pewnym ustronnym miejscu i mam przed sobą pańską recenzję. Za chwilę będę ją miał za sobą".**

Niemiecki kompozytor Max Reger żył w latach 1873—1916, polski pisarz rodem z Klimontowa Bruno Jasieński — w latach 1901—1939. A jednak, mając kłopoty z krytykami, piszą do nich identycznymi słowami. Metafizyka, telepatia?

Nie wiemy, skąd taka zbieżność. Podejrzewamy, iż jak w różnych nagrodach, pucharach itp., istnieją również anegdoty „przechodnie", przyznawane znanym ludziom zależnie od okoliczności i potrzeb.

RZECZ NA CZASIE

W pewnym tygodniku (nazwa znana red.) na kolumnie **„KULTURA I SZTUKA"** zobaczyliśmy tytuł **„Jak zdobywałem ziarno siewne".**

Przypomina się anegdota:

Przyjaciel pyta dawno nie widzianego przyjaciela, co obecnie porabia. Ten odpowiada, że pracuje w sztuce.

— A konkretnie na czym twoja praca polega?

— Robię parasole.

— I to ma być sztuka?

— Spróbuj, to się przekonasz.

POPRAWA KOMUNIKACJI

W Rzeszowie rysuje się poprawa komunikacji. Otóż po wielomiesięcznej przerwie uruchomiono w pawilonie przy ul. Podwisłocze stoisko z artykułami gospodarstwa domowego i chemicznymi. Fakt ten sprawił, iż mieszkańcy osiedla mają możliwość korzystania z jeszcze jednej kolejki.

Brawo! Martwimy się tylko co będzie, jeżeli kierownictwo pawilonu wpadnie na pomysł przywrócenia samoobsługi.

PROGNOZA POGODY

Im głębiej we wrześniu grzebią się robaki, tym srożej się zima da ludziom we znaki.

HASŁO TYGODNIA

Zachowując ośmiogodzinny dzień pracy, spróbujmy pracować dłużej.

Redaguje SERWACY POTULNY
z podzespołem

Jeżeli biesiadując zauważymy wlatującego przez okno czarnego kota, to znak, żeby przestać pić, bo za chwilę mogą pojawić się białe myszki.

Fot. CAF — ROMAN SIENKO

GĄSIOREK
/ LANIUS COLLURIO/

PTAKOteka

ORZECHÓWKA
/NUCIFRAGA CARYOCATACTES/